

# Złoty garnek



E. T. A. HOFFMANN

FANTASIESTÜCKE IN CALLOTS MANIER

# Złoty garnek

BAJKA NOWOŻYTNYCH CZASÓW

TŁUM. JAN KLECZYŃSKI

## WIGILIA<sup>1</sup> PIERWSZA

*Nieszczęsne przygody studenta Anzelmusa. — Higieniczny tytoń konrektora<sup>2</sup> Paulmanna i złotozielone węże.*

W dzień Wniebowstąpienia, o godzinie trzeciej po południu w Dreźnie pędził pełen młodzieniec przez Czarną Bramę i wpadł prosto w koszyk z jabłkami i ciastkami, które sprzedawała jakaś stara, brzydka kobieta — tak że wszystko, co ocalało szczęśliwie od zgniecenia, rozsypało się, a ulicznicy wesoło dzielili się zdobyczą, jakby dla nich rozrzuconą przez śpieszącego się pana. Stara zaczęła krzyżeć gwałtu, a na to kumoszki porzuciły swoje stragany z ciastkami i wódką, otoczyły młodzieńca i lżyły go z taką prostą gwałtownością, że ten, oniemiały ze zmartwienia i wstydu, wyciągnął tylko swój mały, niezbyt obficie napełniony woreczek z pieniędzmi, który stara łakomie chwyciła i szybko schowała. Szczelnie zwarte koło rozluźniło się wtedy wprawdzie, lecz zaledwie młodzieniec wyrwał się zeń co prędzej, stara krzyknęła za nim:

— Tak, pędźże! Pędźże dalej, czarci synu! Zginiesz w kryształ, już ci bliżej niż dalej, tak! w kryształ!

Przeraźliwy, skrzeczący głos starej miał w sobie coś okropnego, tak że zdumieni przechodnie przystanęli cicho, a śmiech, który się wkoło przed chwilą rozlegał, nagle umilkł.

Student Anzelmus (on właśnie był tym młodzieńcem), chociaż nie rozumiał dziwnych słów starej, uczył, że ogarnia go mimowolny strach, i uskrzydlił jeszcze bardziej swoje kroki, aby umknąć przed skierowanymi nań spojrzeniami ciekawego tłumu. A kiedy tak się przeciskał przez zbitą gromadę strojnych ludzi, słyszał, jak szemrano na wszystkie strony:

— Biedny młody człowiek! — A niechże tę przeklętą babę!

Tak tedy, w najszczególniejszy sposób, tajemnicze słowa starej nadały śmiesznej przygodzie pewien odcień tragizmu i dzięki temu ze współczuciem spoglądano teraz na młodzieńca, którego przedtem nie zauważono wcale. Kobiety, patrząc na jego krępką postać i twarz urodziwą, której wyraz potęgował jeszcze płomień wewnętrznego wzburzenia, wybaczały mu całą jego niezręczność jak również strój, który nic nie miał wspólnego z jakąkolwiek modą. Jego szczupaczoszary frak był tak skrojony, jak gdyby twórca jego, krawiec, krój współczesny znał tylko ze słyszenia, a czarne, atlasowe, starannie utrzymane pantalon<sup>3</sup> nadawały całości pewien styl powściągliwy, profesorski, pozostający w zupełnej sprzeczności z zachowaniem się i szczególnym położeniem młodzieńca.

Gdy wreszcie student nasz dobiegł do końca alei, wiodącej do Linckesches Bad, był już tak wyczerpany, że oddech mu zapierało. Musiał zwolnić kroku; ale zaledwie śmiał wzrok oderwać od ziemi, gdyż wciąż jeszcze jabłka i ciastka tańczyły mu przed oczyma,

Prorocstwo

<sup>1</sup>wigilia — tu: czuwanie (w ostatniej wigilii narrator mówi, że historię spisywał nocą). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>konrektor (niem.) — zastępca dyrektora szkoły. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>pantalon (daw.) — spodnie, zwł. zbyt szerokie lub zbyt obcisłe. [przypis edytorski]

a przyjazne spojrzenia spotykanych dziewcząt wydawały mu się tylko odbłaskiem złośliwego śmiechu spod Czarnej Bramy. Tak doszedł aż do wejścia prowadzącego do kąpielniska. Ciągnęły tam całe szeregi świątecznie ubranych ludzi. Z wnętrza gmachu dochodziły dźwięki orkiestry dętej, a gwar wesołych gości stawał się coraz głośniejszym.

Biednemu Anzelmusowi prawie że lzy stanęły w oczach; dzień Wniebowstąpienia był dla niego zawsze wyjątkowo uroczystym świętem rodzinnym, więc i on miał zaczerpnąć ze źródeł szczęśliwości Linkowego raję; tak, chciał się posunąć aż do pół porcji kawy z rumem i butelki dubeltowego piwa — i aby tak wspaniale użyć, wziął więcej pieniędzy niż zwykle, więcej, niż mógł być sobie pozwolić. I oto fatalny upadek w kosz z jabłkami pozbawił go wszystkiego, co miał przy sobie. O kawie, o dubeltowym<sup>4</sup> piwie, o muzyce, o widoku postrojonych dziewcząt, krótko mówiąc — o wszystkich wymarzonych rozkoszach nie było już co myśleć; przeszedł obok nich powoli i wreszcie udał się drogą, prowadzącą ku Elbie; była zupełnie pusta. Pod jakimś krzakiem czarnego bzu, co wyrastał z muru, znalazł ciche, ustronne miejsce; tam siadł i nabił fajkę higienicznym tytoniem, który mu podarował jego przyjaciel, konrektor<sup>5</sup> Paulmann.

Tuż przed nim pluskały i szumiały fale złotożółtej Elby; poza nią wspaniale Drezno dumnie i śmiało strzelało lśniącościami wieżycami w woniejące sklepienie nieba, które spływało ku kwitnącym łąkom i świeżym zielonym lasom, a z głębokiego mroku wynurzał się łańcuch gór, przypominając daleki kraj Czechów. Ale student Anzelmus posępnie patrzył w tę dal, zawzięcie puszczał w powietrze kłęby dymu i wreszcie głośno dał wyraz swemu smutkowi, mówiąc:

— A jednak to prawda; urodziłem się, by dźwigać wszelkie możliwe krzyże, znosić wszelkie możliwe nieszczęścia! Że nigdy nie zostałem królem migdałowym, że w „cetno czy lichy”<sup>6</sup> zawsze zgadywałem fałszywie, że chleb z masłem zawsze upadał mi na posmarowaną stronę — o całej tej nędzy wcale już nie chcę wspominać; ale czyż to nie straszne jakieś przeznaczenie, że odkąd diabłu na pociechę zostałem studentem, od razu stałem się i nadal pozostaję pośmiewiskiem kolegów? Czy włożę kiedy nowy surdut<sup>7</sup>, nie plamiąc go od pierwszego razu czymś tłustym lub nie dziurawiąc go źle zatkniętą szpilką w najwidoczniejszym miejscu? Czy uklonię się kiedy jakiemu radcy lub jakiej damie, nie gubiąc przy tym kapelusza lub, co gorsza, nie potykając się haniebnie i nie wywracając na równej drodze? Czyż nie płacę stale, w każdy dzień jarmarczny w halach targowych około trzech-czterech groszy za rozdeptane garnki, bo diabeł kładzie mi w głowę, by iść wprost przed siebie jak lemingi? Czy przyszedłem choć raz w porę na wykład lub tam, gdzie mnie zaproszono? Cóż pomogło, że wychodziłem z domu o pół godziny wcześniej i stałem pode drzwiami z ręką na klamce? Gdy z uderzeniem godziny chciałem tę klamkę nacisnąć, szatan wylewał mi miednicę wody na głowę lub kazał mi się zderzyć z kimś, kto właśnie wychodził, tak że zaplątywałem się w tysiące zatargów i przez to omijało mnie wszystko.

Ach! ach! Gdzież jesteście, błogie sny o przyszłym szczęściu? Jak to ja dumnie marzyłem, że dojdę tu aż do rangi tajnego sekretarza! Ale czyż moja zła gwiazda nie uczyniła najlepszych protektorów moich wrogami?

Wiem, że ten radca tajny, któremu mnie polecono, nie znosi ostrzyżonych włosów; fryzjer z trudem przyczepia mi mały warkoczyk w tyle głowy, ale przy pierwszym uklonnie fatalny sznurek pęka, a wesoły mops, który mnie obwąchuje, z triumfem aportuje warkoczyk panu radcy tajnemu. Ja rzucam się na psa przerażony i wpadam na stół, przy którym pan radca pracował jedząc śniadanie — i oto filiżanki, talerze, kałamarz i puszka z piaskiem zlatują z hałasem na podłogę, a strumień czekolady i atramentu zalewa napisany przed chwilą raport. — Czyś pan zwariował?! — ryczy rozszłoszczony radca tajny i wyrzuca mnie za drzwi.

Cóż to pomoże, że mi pan konrektor Paulmann robi nadzieję na posadę sekretarza? Czyż pozwoli na to zła gwiazda, która mnie wciąż prześladuje?!

<sup>4</sup>dubeltowy (daw.) — podwójny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>konrektor (niem.) — zastępca dyrektora szkoły. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>cetno czy lichy — gra w zgadywanie, czy druga osoba trzyma parzystą, czy nieparzystą liczbę kamyków. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>surdut — część męskiej garderoby, przedłużana marynarka. [przypis edytorski]

Albo dzisiaj! Chciałem ten miły dzień Wniebowstąpienia przepędzić<sup>8</sup> tak przyjemnie, chciałem przecież coś niecoś na ten cel poświęcić. Mogłem równie dobrze jak każdy inny gość u Linka zawołać z dumą: — Kelner! Butelka dubeltowego piwa! Ale proszę o najlepsze! — Mógłbym być tam siedzieć aż do późnego wieczora, może nawet tuż obok jakiejś grupki wspaniale ubranych, pięknych dziewcząt. Dobrze wiem, że nabrałbym wtedy odwagi, stałbym się zupełnie innym człowiekiem; tak! posunąłbym się aż do tego, że gdyby jedna z nich zapytała: — Która też może być teraz godzina? — albo: — Cóż to oni grają? — podskoczyłbym wtedy lekko, nie wywracając mojej szklanki, nie potykając się o ławkę; podszedłbym kilka kroków, uklonił się i powiedział: — Mademoiselle, pozwoli pani sobie wyjaśnić, to jest uwertura<sup>9</sup> z *Dziewicy Dunaju* — albo: — Zaraz wybije szósta — Czyż jest na świecie człowiek, który by mi to wziął za złe? Nie! Jestem przekonany, że owe dziewczęta popatrzałyby na siebie z takim filuternym<sup>10</sup> uśmiechem, jak to zwykle bywa, kiedy nabieram odwagi i chcę pokazać, że i ja także znam się na lekkim światowym tonie i umiem zachować się wobec dam. Ale cóż? Szatan wpełchnął mnie w ten przeklęty kosz z jabłkami i oto muszę w samotności palić tytoń higieniczny...

Tu przerwały studentowi Anzelmusowi jego rozmowę z sobą samym jakieś szczególne szmery i szelesty, które powstały w trawie, tuż obok niego, lecz wnet prześliznęły się między gałęzie i liście bzu rozpostartego tuż ponad jego głową. Raz zdawało się, że to wiatr wieczorny potrząsa liśćmi, to znów, że ptaszki igrają wśród gałęzi, goniąc się wesoło i trzepocąc skrzydełkami. A potem zaczęły się jakieś szepty i gwary, jak gdyby kwiaty zadźwięczały niby dzwoneczki z kryształu. Anzelmus słuchał i słuchał. I wtem — sam nie wiedział, jak to się stało — owe gwary, szeptania, dźwięczenia zamieniły się w ciche, rozwiewające się słowa:

— Wśród liści — między witkami — wśród gałęzi, wśród okiści<sup>11</sup> kwiatów wijmy się, przewijajmy, prześlizgujmy się z siostrzyczkami — przewijajmy się błyszcząc — kołyszmy się w lśnieniach — szybko, szybko, w górę — na dół — słońce wieczorne ciska strzały promienne, wietrzyk szeleści — rosa upada — śpiewają kwiaty — ruszajmy jęczyzkami — śpiewajmy wraz z kwiatami i gałązkami — wnet gwiazdy zabłyszcą — wracać nam trzeba — wśród kwiatów i liści, między witkami wijmy się, przewijajmy, prześlizgujmy się z siostrzyczkami.

Tak brzmiała ta odurzająca mowa. Student Anzelmus myślał: Toż to przecież tylko wiatr wieczorny, szepce jednak dzisiaj zupełnie zrozumiałymi słowami.

Ale w tej samej chwili rozdzwonił mu się ponad głową jakby trójdzwęczny akord przeczystych dzwonów z kryształu. Spojrzał w górę i zobaczył trzy lśniące zielonym złotem wężyki, co okręciły się o gałęzie i wysunęły główki ku wieczornemu słońcu. I znowu powtórzyły się w tych samych słowach rozmowy<sup>12</sup> i szeptania, a wężyki przemykały się, prześlizgiwały wśród liści, gałęzi do góry i na dół; a kiedy poruszały się tak szybko, zdało się, że to krzak bzowy sypie tysiącem płomienistych szmaragdów poprzez ciemne liście.

To słońce wieczorne tak igra i lśni na drzewie — myślał student Anzelmus; ale nagle znowu zadźwięczały dzwony z kryształu i Anzelmus zobaczył, że jeden z wężyków wyciągnął ku niemu główkę.

Jakby prąd elektryczny przebiegł mu przez ciało, zadrżał aż do dna duszy, bo oto para ciemnobłękitnych oczu spojrzała nań z niewysłowioną tęsknotą. Jakiego nigdy nie doświadczone uczucie największej błogości i najostrzejszego bólu omal nie rozsadziło mu piersi. A kiedy pełen żaru pożądania wpatrywał się w te przesłodkie oczy, silniej zadźwięczały rozkoszne akordy kryształowych dzwonów, opadły nań płomieniste szmaragdy, otoczyły go, migając wokół tysiącem ogników, igrając błyszczącymi nićmi ze złota. I poruszył się bzowy krzak, i rzekł:

— Leżałeś w cieniu moim, mój zapach owiewał cię, aleś nie pojął mnie: zapach jest mową moją, kiedy go miłość nieci.

Wiatr wieczorny przeleciał i rzekł:

<sup>8</sup>przepędzić — spędzić. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>uwertura — wstępna część utworu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>filuterny (daw.) — figlarny, prowokujący. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>okiść — śnieg przymarznięty do gałęzi (tu metaforycznie: białe kwiaty). [przypis edytorski]

<sup>12</sup>rozmowa (daw., reg.) — rozmowa. [przypis edytorski]

— Owiewałem sny twoje, aleś nie pojął mnie: tchnienie jest mową moją, kiedy je miłość nieci.

Poprzez chmury wyrzwały słoneczne promienie, a blask ich zdawał się gorzeć<sup>13</sup> wyrazami:

— Oblewałem cię żarem roztopionego złota, aleś nie pojął mnie. Żar jest mową moją, kiedy go miłość nieci.

I coraz głębiej, coraz silniej zatapiał się wzrok jego w rozkoszny błękit dwojga oczu, coraz goręcej płonęła tęsknota, coraz potężniej paliło pożądanie. A wkoło zadrżało, poruszyło się wszystko, jak gdyby obudzone do radosnego życia. Kwiaty zapachniały wszystkie razem, a woń ich była jak cudny śpiew tysiąca fletni; a śpiew ich niesły echem dalekim chmury złociste, mknące gdzieś w kraje nieznane. Lecz gdy tylko ostatni promień słońca zniknął za górami, a zmierzch rzucił cień na ziemię, z odległej dali zabrzmiał nagle szorstki, głęboki głos:

— Hej, hej! A cóż to tam za hałasy i gwary? Hej, hej! Kto mi tam szuka promienia za górami? Dostyc świecenia, dostyc śpiewania! Hej, hej! przez krzaki, przez trawy — Przez trawy, przez rzeki! Hej, hej! Do do-o-o-mu! Do do-o-o-mu!

I tak rozplął się głos, jakby w pomruku dalekiego grzmotu, a dzwony z kryształu zazgrzytały ostrym dysonansem<sup>14</sup>. Wszystko ucichło — i Anzelmus zobaczył, jak owe trzy węże, lśniąc i błyskając wśród trawy, pełzły ku rzece; szemrząc, szeleszcząc rzuciły się w Elbę, a nad falami, w których się zanurzyły, zatrzeszczał zielony płomień i sunął po rzece ukośnie w kierunku miasta.

## WIGILIA DRUGA

*Jak studenta Anzelmusa brano za pijanego i niespełna rozumu. — Przejazdźka po Elbie. — Aria brawurowa kapelmistrza<sup>15</sup> Grauna. — Wódka żołądkówka u Conrاديةgo i sprzedawczyni jabłek w brązie odlana.*

— Temu panu się chyba w głowie pomieszało — mówiła jakaś szanowna obywatelka, która, wracając z rodziną ze spaceru, przystanęła nagle i z założonymi rękami przyglądała się, co za niepojęte rzeczy wyprawiał student Anzelmus. Młodzieniec bowiem objął pień bżowego drzewa i wołał bezustannie w gęstwę gałęzi i liści:

— O, tylko raz jeszcze załsnijcie, zajaśniejcie, najdroższe, złote wężyki, tylko raz jeszcze przemówcie dzwoneczkami waszych głosów! Tylko raz jeszcze spojrzycie na mnie, rozkoszne oczy błękitne, tylko raz jeszcze — inaczej zginę w bólu i palącej tęsknocie!

I wzdychał, i jęczał przy tym żałośnie z głębi duszy, i w pożądaniu i niecierpliwości potrząsał bżowym drzewem, które za całą odpowiedź szeleściło liśćmi głucho i niezrozumiale i zdawało się w ten sposób jawnie drwić z bólu studenta Anzelmusa.

— Temu panu chyba się w głowie pomieszało — powiedziała mieszcza, a Anzelmus poczuł się, jakby go ktoś w ciężkim śnie potrząsnął lub oblał lodowozimną wodą, tak że się zbudził gwałtownie. Teraz dopiero ujrzał wyraźnie, gdzie się znajduje, i uświadomił sobie, jak to rozdrażniły go jakieś szczególniejsze mary<sup>16</sup> i nawet doprowadziły do tego, że zaczął głośno mówić do siebie. Zmieszany patrzył na stojącą przed nim kobietę i wreszcie chwycił leżącą na ziemi kapelusz, aby uciec stąd natychmiast.

Tymczasem zbliżył się doń również ojciec rodziny i postawiwszy na trawie dziecko, które niósł na rękę, oparł się na lasce i ze zdziwieniem przypatrywał się i przysłuchiwał studentowi. A potem podniósł fajkę i woreczek z tytoniem, które Anzelmus upuścił, i podając mu obydwie przedmioty, rzekł:

— Nie lamentujże pan tak strasznie w ciemności i nie niepokój pan ludzi, jeżeli właściwie nic ci się nie stało, tyłkoś pan, jak widać, za głęboko zajrzał do kieliszka, ot, idź pan lepiej do domu i wyśpij się pan porządnie!

Student Anzelmus uczył się bardzo zawstydzonym, wydobyl z siebie tylko płaczliwe: ach!

<sup>13</sup>gorzeć (daw.) — płonąć. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>dysonans (muz.) — niezgodne współbrzmienie dźwięków. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>kapelmistrz (daw.) — kierownik orkiestry. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>mara — widmo, złudzenie. [przypis edytorski]

— No, no — mówił dalej mieszczanin — nie ma się znowu czym tak przejmować. To się zdarza najporządniejszym ludziom, a przy miłym dniu Wniebowstąpienia można przecież ze szczerego serca pozwolić sobie trochę ponad miarę. Można to chyba wybaczyć nawet słudze bożemu — jesteś pan, zdaje się, kandydatem teologii. Ale pozwoli pan, że nabiję sobie fajkę pańskim tytoniem, bo mój się właśnie skończył.

Powiedział to właśnie, gdy student Anzelmus chciał już schować i fajkę, i woreczek, a teraz ów mieszczuch powoli i z namysłem zaczął czyścić swoją fajkę, potem równie powoli zabrał się do jej nabijania. Jednocześnie zaś podeszło ku nim wiele dziewcząt, które szeptały coś po cichu z żoną obywatela i chichotały między sobą, patrząc na Anzelmusa. A ten stał jak na ostrych cierniach i rozżarzonych szpilkach. Więc skoro tylko oddano mu fajkę i woreczek z tytoniem, uciekł stamtąd co tchu. Wszystkie dziwy, na które patrzył, ulotniły mu się zupełnie z pamięci, przypomniał sobie tylko, że pod bżowym drzewem gadał głośno jakieś niestworzone rzeczy, co było dlań tym okropniejsze, że od dawna miał głęboki wstręt do wszystkich, co mówią sami do siebie. „Szatan gada przez nich” — mawiał jego rektor, a on wierzył święcie, że to prawda. Nie do zniesienia była myśl, że brano go za *candidatus theologiae*<sup>17</sup> pijanego w dzień Wniebowstąpienia. Już chciał skrócić w aleję topolową przy ogrodzie Cosel, gdy jakiś głos za nim zawołał:

— Panie Anzelmie! Panie Anzelmie! Do stu piorunów, dokądże pędzisz pan tak wściekle?

Student zatrzymał się, jakby w ziemię wrósł. Był przekonany, że wnet nowe nieszczęście zwali mu się na głowę. Głos odezwał się znowu:

— Panie Anzelmie, no, wróćże się pan, czekamy tu nad wodą!

Teraz dopiero nasz student poznał, że to jego przyjaciel, konrektor Paulmann go woła; wrócił nad Elbę i spotkał tam konrektora z dwoma córkami oraz pana registratora<sup>18</sup> Heerbranda, wszyscy mieli właśnie zamiar wsiąść w łódkę. Konrektor zaprosił studenta, aby przejechał się z nim po Elbie i potem spędził wieczór w jego domu, znajdującym się na Przedmieściu Pirnańskim. Student Anzelmus bardzo chętnie przyjął zaproszenie, gdyż sądził, że może wymknie się jakoś fatalności, która dziś nad nim ciążyła.

Kiedy już płynęli z prądem, zdarzyło się, że na drugim brzegu, koło ogrodu Antoniego, puszczano ognie sztuczne. Z hukiem i sykiem strzelały w górę rakiety, a lśniące gwiazdy pękały w powietrzu, siejąc wokół tysiące trzaskających iskier i płomieni. Student Anzelmus siedział skulony tuż obok wiosłującego przewoźnika; kiedy zobaczył w wodzie odbicie rozpryskujących się w powietrzu iskier i wstęg ognistych, zdało mu się, że to złote wężyki pełzają po falach. Wszystkie dziwy, jakich był świadkiem pod bżowym drzewem, znowu stanęły mu jak żywe przed oczyma i od nowa ogarnęła go ta sama niewysłowiona tęsknota, to samo palące pożądanie, które mu tam zaciskały serce w kurczowo bolesnym zachwycie.

— Ach, wy żeście to znowu, wężyki złociste?! Śpiewajcie, ach, śpiewajcie! W śpiewie waszym pojawiają się znowu te drogie, rozkoszne, ciemnobłękitne oczy. Ach, czyżbyście były tam, pod falami?

Tak zawołał student Anzelmus i uczynił przy tym gwałtowny ruch, jakby chciał zaraz skoczyć z łódki w wodę.

— Opełtany, czy co?! — krzyknął przewoźnik i chwycił go za połą fraka.

Panienci, które siedziały koło niego, krzyknęły przerażone i uciekły na drugą stronę łodzi; registrator Heerbrand szepnął coś konrektorowi Paulmannowi do ucha, na co ten zaczął mu coś długo tłumaczyć, lecz student Anzelmus zrozumiał z tego tylko pojedyncze słowa:

— ... Miewa podobne napady... jeszcześ pan nie zauważył?

Wkrótce potem powstał również konrektor Paulmann i z nieco uroczystą, urzędowo poważną miną przysiadł się do studenta Anzelmusa; ujął go za rękę i rzekł:

— Jak się pan czuje, panie Anzelmie?

Student Anzelmus nieledwie że odchodził od przytomności, gdyż czuł, że w głębi duszy powstawało mu jakieś straszliwe rozdwojenie, które na próżno starał się opanować.

<sup>17</sup>*candidatus theologiae* (łac.) — kandydat nauk teologicznych. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*registrator* (daw.) — urzędnik kancelarii, odpowiedzialny m. in. za przechowywanie dokumentów. [przypis edytorski]

Ujrzał teraz wyraźnie, że to, co uważał za lśnienia złotych wężyków, było jedynie odbiciem ogni sztucznych koło ogrodu Antoniego; ale jakieś nigdy nie doświadczone uczucie, sam nie wiedział, czy rozkosz, czy ból, zaciskało mu pierś konwulsyjnie, a kiedy przewoźnik tak zanurzał wiosło w wodę, że burzyła się i pieniała, jakby w złości, pluskała i szumiała, rozróżnił w tych bulgoczących szmerach jakby tajemne szeptanie:

— Anzelmie! Anzelmie! Czyż nie widzisz, że płyniemy ciągle przed tobą? Siostrzyczka patrzy znowu na ciebie. Uwierz, uwierz, uwierz w nas!

I zdało mu się, że widzi odbłask trzech zielonych, żarzących się smug. Lecz kiedy potem, z sercem zamierającym z tęsknoty, patrzył na wodę, czy nie wyjrzą nań spośród fal te rozkoszne oczy, zrozumiał znów, że ów odbłask ma swe źródło w oświetlonych oknach niedalekich domów. I siedział tak, milcząc i walcząc z sobą w głębi duszy; ale konrektor Paulmann zapytał jeszcze głośniejsze:

— Jak się pan czuje, panie Anzelmie?

Student odpowiedział bardzo nieśmiało:

— Ach, kochany panie konrektorze, gdybyś pan wiedział, co ja dzisiaj za nadzwyczajne rzeczy śniłem na jawie, z otwartymi oczami, pod bżowym drzewem, pod murem ogrodu Linka, ach, na pewno nie miałby mi pan za złe, że jestem jak nieprzytomny...

— Aj, aj, panie Anzelmusie — przerwał konrektor Paulmann — miałem pana zawsze za solidnego młodzieńca, ale śnić — z szeroko otwartymi oczami śnić, a potem nagle ni stąd, ni zowąd chcieć skakać do wody — to już, przepraszam pana, to już mogą tylko ludzie niespełna rozumu albo kpy<sup>19</sup>!

Studenta Anzelmusa głęboko zasmuciły ostre słowa przyjaciela, lecz nagle odezwała się najstarsza córka Paulmanna, Weronika, bardzo ładna, bujna, szesnastoletnia dziewczyna:

— Ach, kochany ojczy, musiało się przecież panu Anzelmusowi przytrafić coś bardzo nadzwyczajnego. Może mu się tylko zdaje, że to było na jawie, w rzeczywistości musiał pod tym bżowym krzakiem zasnąć i przyśniły mu się rozmaite głupstwa, które mu teraz nie dają spokoju.

— Ależ najszanowniejsza panno Weroniko, zacny konrektorze — zabrał głos pan rejestrator Heerbrand — czyż nie można i nie śpiąc pograć się w pewien stan marzenia, śnienia? Bo proszę tylko posłuchać, co mnie się przydarzyło. Kiedym siedział pewnego razu po obiedzie przy kawie w takim stanie majaczenia, w takiej chwili cielesnej i umysłowej błogości, przyszło mi nagle jakby natchnienie, zobaczyłem, gdzie znajduje się pewien zgubiony akt sądowy; a wczoraj znowu w podobny sposób tańcowała mi przed szeroko otwartymi oczyma jakaś wspaniała fraktura<sup>20</sup> łacińska.

— Ach, najszanowniejszy rejestratorze — odparł konrektor Paulmann — zawsze pan miał taką skłonność ku *poeticis*<sup>21</sup>, a wtedy łatwo wpada się w fantastyczność i romantyzm.

Ale studentowi Anzelmusowi było przyjemnie, że się ktoś za nim ujął w tym niezwykle przykrym położeniu, kiedy go miano za pijanego lub niespełna rozumu, i chociaż było dość ciemno, zdało mu się, że teraz dopiero zauważył prawdziwie ładne, ciemnobłękitne oczy Weroniki — które mu jednak wcale nie przypominały przedziwnych oczu, widzianych pod bżowym drzewem. W ogóle studentowi Anzelmusowi znów zupełnie wyleciała z pamięci cała przygoda pod bżowym drzewem; uczuł, że mu lekko i wesoło — tak! — doszedł nawet jakby w nadmiarze swawolnego zuchwalstwa do tego, że przy wysiadaniu z łódki podał pomocną dłoń obrończyni swojej, Weronice, a potem, gdy szli już razem, pod rękę, doprowadził ją z taką zręcznością i tak szczęśliwie do domu, że raz tylko jeden się pośliznął, a ponieważ tam właśnie była jedyna na całej drodze kałuża, więc tylko bardzo nieznacznie obryzgał białą suknię Weroniki.

Szczęśliwa zmiana w usposobieniu studenta Anzelmusa nie uszła uwagi konrektora Paulmanna, który na powrót uczuł sympatię do niego i przepraszał za ostre słowa, wypowiedziane przed chwilą.

— Tak — dodał — zapewne, liczne są na to przykłady, że nieraz uroi się człowiekowi jakie widziadło, które może go niepokoić i dręczyć; ale to jest choroba cielesna i pomagają

<sup>19</sup>kiep (daw.) — głupiec. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>fraktura — odmiana dekoracyjnego pisma gotyckiego. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>poetica (łac.) — rzeczy poetyckie. [przypis edytorski]

na to pijawki, które się przystawia, *salve venia*<sup>22</sup>, na zadku, jak to dowodził pewien sławny profesor, który niedawno zmarł.

Student Anzelmus istotnie sam nie wiedział, czy był pijany, obłąkany czy chory; w każdym jednak razie pijawki wydawały mu się zupełnie zbyteczne, ponieważ mniemane widziadła znikły zupełnie, a zresztą czuł się coraz weselszym w miarę, jak starał się nadskakiwać pięknej Weronice.

Po skromnej wieczerzy, jak zwykle, zaczęło się muzykowanie; student Anzelmus musiał zasiąść przy fortepianie, a Weronika zaśpiewała coś swoim jasnym, czystym głosem.

— Szanowna panno Weroniko — rzekł registrator Heerbrand — pani ma głos jak dzwon kryształowy!

— No, to chyba nie! — wyrwało się studentowi Anzelmusowi, sam nie wiedział, jakim sposobem, a wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem i pomieszaniem.

— Kryształowe dzwony dźwięczą w bżowych drzewach tak cudnie! Tak cudnie! — mruczał dalej student Anzelmus półgłosem.

Lecz Weronika położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

— Co pan tam mówi, panie Anzelmusie?

Natychmiast student znowu zupełnie otrzeźwiał i zaczął grać. Konrektor Paulmann spojrział nań chmurnie, ale pan registrator Heerbrand położył nuty na pulpicie i zaśpiewał wspaniale brawurową arię kapelmistrza Grauna. Student Anzelmus akompaniował jeszcze coś niecoś, a wreszcie duet fugowy<sup>23</sup>, który zaśpiewał z Weroniką, a który skomponował sam konrektor Paulmann, wprowadził wszystkich w znakomity humor.

Jednakże czas upływał, było już dość późno, więc registrator Heerbrand sięgnął po laskę i kapelusz, ale konrektor Paulmann zbliżył się ku niemu tajemniczo i rzekł:

— Aj, gdybyś pan sam zechciał, szanowny registratorze, kochanemu panu Anzelmusowi, no! to, o czym przedtem mówiliśmy.

— Z największą przyjemnością! — odpowiedział registrator Heerbrand i kiedy wszyscy usiedli, zaczął mówić, co następuje:

— Jest tutaj pewien stary, nadzwyczajny, zadziwiający człowiek; opowiadają, że służy wszelkiej wiedzy tajemnej; ale ponieważ wiedza taka nie istnieje, więc ja uważam go raczej za uczonego antykwariusza, a oprócz tego może za badacza, zajmującego się chemią doświadczalną. Mam na myśli oczywiście naszego tajnego archiwariusza Lindhorsta. Mieszka, jak panowie wiecie, sam w swoim starym, ustronnym domu i jeśli go nie zajmują sprawy służbowe, zawsze go można zastać w jego bibliotece lub w jego pracowni chemicznej, do której jednakże nie wpuszcza nikogo. Oprócz wielu rzadkich ksiąg posiada on także mnóstwo rękopisów, po części arabskich, koptyjskich, a nawet pisanych jakimiś szczególnymi znakami, nie należącymi do żadnego ze znanych języków. Otóż on właśnie pragnie, aby mu je zręcznie przepisywano, a do tego trzeba człowieka, który umie rysować piórem, który by mógł wszystkie te znaki przenieść na pergamin — i to jeszcze tuszem — z jak największą dokładnością i sumiennością. Praca ma się odbywać w jakimś osobnym pokoju w jego domu, pod jego osobistym kierunkiem. Oprócz obiadu, podawanego w godzinach pracy, ofiarowuje za to bitego talara dziennie i obiecuje jeszcze jakiś pokaźny podarek, jeżeli przepisywanie uda się szczęśliwie aż do końca. Praca odbywa się codziennie od dwunastej do szóstej. Od trzeciej do czwartej — obiad i odpoczynek. Ponieważ panu Lindhorstowi już z kilkoma ludźmi nie udały się próby tego przepisywania, więc zwrócił się w końcu do mnie, abym mu wyszukał jakiegoś zręcznego kopistę, wtedy zaraz pomyślałem o panu, kochany panie Anzelmusie, ponieważ wiem, że pan nie tylko bardzo ładnie i porządnie pisze, lecz także bardzo ozdobnie i czysto rysuje piórem. Jeżeli więc zechce pan w tym ciężkim czasie, dopóki pan nie znajdzie jakiej stałej posady, zarabiać bitego talara dziennie, a w dodatku jeszcze otrzymać upominek, to niechże pan będzie łaskaw zająć jutro punktualnie o dwunastej w południe do pana archiwariusza, który mieszka — no, pan pewnie wie, gdzie. Ale strzeż się pan wszelkich plam atramentu; jeżeli kleks upadnie na odpis, to musisz pan bez gadania zaczynać znów od

<sup>22</sup>*salve venia* (łac.) — bez szkody. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*fugowy* (muz.) — naśladujący kompozycję fugi, w której ten sam temat jest grany jednocześnie w pewnym przesunięciu czasowym. [przypis edytorski]



początku, jeżeli upadnie na oryginał, to pan archiwariusz potrafi pana za okno wyrzucić, bo to człowiek prędki<sup>24</sup>.

Student Anzelmus ucieszył się całą duszą z propozycji registratora Heerbranda; bo nie tylko że ładnie pisał i rysował piórem, lecz mozolne, kaligraficzne przepisywanie było wprost jego namiętnością; podziękował więc w najuprzejmiejszych słowach swoim protektorom i obiecał dobrze pamiętać o jutrzejszej godzinie dwunastej. W nocy mającymi mu przed oczyma same błyszczące, bite talary, a w uszach brzmiał mu ich luby brzęk. I któż by to mógł mieć za złe biedakowi, którego dziwaczna, nieszczęsna przygoda odarła z tak skromnych nadziei i który musiał teraz liczyć się z każdym groszem, odmawiając sobie najdrobniejszych przyjemności, do jakich parła go młodzieńcza żądza życia.

Już od wczesnego rana kompletował swoje ołówki, pióra, chiński tusz; archiwariuszowi, myślał, trudno chyba będzie znaleźć lepsze przybory. Przede wszystkim zaś uporządkował swoje arcydzieła kaligraficzne oraz rysunki, aby przedstawić je archiwariuszowi na dowód, że potrafi zadośćuczynić jego wymaganiom. Wszystko poszło jak z płatka, zdawało się, że unosi się nad nim jakaś szczególnie szczęśliwa gwiazda, krawat ułożył się od razu, przy pierwszym zawiązaniu, bez zarzutu, żaden szew nie pękł, nie puściło żadne oczko w czarnych, jedwabnych pończochach, kapelusz nie upadł ani razu na zakurzoną podłogę, on zaś był już gotów, ubrany czysto i porządnie. Jednym słowem, punktualnie o wpół do dwunastej student Anzelmus — w swoim szczupaczoszarzym fraku i czarnych, atlasowych spodniach, ze zwitkiem rękopisów kaligraficznych i rysunków piórkowych w kieszeni — stał już przy Schlosstrasse w sklepie Conrاديةgo i pił jeden, potem drugi kieliszek najlepszej wódki, żołądkówki, bo tutaj — myślał, uderzając się po pustej kieszeni — wnet zadzwonią bite talary.

Pomimo iż dość daleko było do ustronnej ulicy, przy której znajdował się odwieczny dom archiwariusza Lindhorsta, student Anzelmus zdążył przed bramę jeszcze przed dwunastą. Przystanął i przypatrywał się wielkiej kołatce z brązu u bramy; ale kiedy wraz z ostatnim potężnie rozbrzmiewającym w powietrzu uderzeniem godziny dwunastej na zegarze wieżowym kościoła Świętego Krzyża chciał chwycić za kołatkę, aby zadzwonić, nagle wyrzeżana na kołatce twarz wyciągnęła się we wstrętym grymasie, wykrzywiła się w szatańskim, szyderyczym uśmiechu, niebieskie oczy błysnęły żarem. Ach! To była sprzedawczyni jabłek spod Czarnej Bramy. Ostre zęby zgrzytnęły w obwisłej gębie, a w zgrzycie tym charczało:

— Ty durniu! durniu, durniu, Waruj teraz, waruj! Czemużeś się wyrwał! Durniu!

Student Anzelmus rzucił się w tył przerażony, chciał chwycić za węgar<sup>25</sup> u bramy, lecz dłoń jego natrafiła na sznurek od dzwonka i pociągnęła ku sobie, a wtedy zaczęło dzwonić i dzwonić, coraz mocniej, fałszywiej, przeraźliwiej, a w opuszczonym domu echo rozbrzmiewało głucho i szydziło okropnie, mknąc poprzez puste sale:

— Zginiesz w kryształach! Zginiesz w kryształach!!

Groza ogarnęła studenta Anzelmusa, mróz febryczny wstrząsnął nim kurczowo od stóp do głów. Sznur od dzwonka opuścił się ku niemu i stał się olbrzymim, białawym, przezroczystym węzem, który oplótł go i dławił, coraz silniej i silniej zaciskając zwoje, aż krusze członki miażdżone z trzaskiem popękały, aż krew wytrysnęła z żył przenikając w przezroczyste ciało węża i barwiąc je na czerwono.

— Zabij mnie! Zabij mnie! — chciał krzyknąć Anzelmus w dzikim strachu, ale krzyk jego był jeno jak głuche rżenie.

Wąż podniósł głowę i długi, ostry język z rozpalonej stali położył na jego piersi, a wtedy wnikliwy, ostry ból przeciął raptownie arterie życia Anzelmusa i ogarnęło go zapomnienie.

Kiedy znów przyszedł do siebie, leżał na swoim ubogim łóżku. Przed nim stał konrektor Paulmann i mówił:

— Na miłość boską, co pan wyrabiasz, kochany panie Anzelmusie!

## WIGILIA TRZECIA

<sup>24</sup>prędki — szybko wpadający w gniew. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>węgar — pionowa belka konstrukcyjna na krawędzi otworu okiennego a. drzwiowego. [przypis edytorski]

— Duch unosił się nad wodami i przewalało się coś, i huczało w spienionych balwanach, i z grzmotem spadało w bezdenne przepaści, które otworzyły swe czarne paszczęki, by wchłaniać i wchłaniać pożądliwie. A skały granitowe, jak pełni chwały zwycięzcy, wznosiły swe zębato ukoronowane głowy, czyniąc straż nad doliną, aż słońce przyjęło ją na swe matczyne łono i otaczając złotymi promieniami, pieściło ją, ogrzewało, niby w palących ramionach. A wtedy tysiąc nasion, drzemiących pod piaskiem jałowym, obudziło się z głębokiego snu; i wysunęły się przed oblicze matczyne zielone listki, łodygi, a kwiaty, jak uśmiechnięte dzieci na zielonej łące, spoczywały w zalążkach i pączkach, póki ich matka także nie obudziła, i przystroiły się tymi blaski, którymi obdarzyła je dobroć matczyna, by cieszyły się przepychem własnego ubarwienia. Ale w środku doliny znajdował się czarny wzgórek, który wznosił się i opadał, jak pierś człowieka, gdy ją wzdyma tęsknota. Z czeluści wybuchały klębiące się dymy i zbijając się w mary wrogie, olbrzymie, próbowały zasłonić matki oblicze; lecz ona przywołała burzę, która rzuciła się na nie i rozpędziła je; a kiedy czysty promień znowu spoczął na czarnym wzgórzu, wtedy w nadmiarze zachwytu wykwitła stamtąd promienista lilia, otwierając swe cudne listki, niby usta rozkoszne, by chłonąć słodkie pocałunki matczyne. Wtedy olśniewające światło przeszło przez dolinę. Był to młodzieniec Fosforus, którego płomienista lilia spostrzegła i ogarnięta gorącą, tęskną miłością błagała: „Ach, bądź moim na wieki, piękny młodzieńcze! Albowiem kocham cię i zginę, jeżeli mnie opuścisz”. Młodzieniec Fosforus odpowiedział: „Pragnę być twoim, o piękny kwiecie, ale ty wtedy jak wyrodne dziecko opuścisz ojca i matkę, nie będziesz już chciała znać swoich rówieśników, zapragniesz być większą i potężniejszą niż wszystko, co cieszy się z tobą razem, jako podobne tobie. Tęsknota, która teraz tak lubo ogrzewa całą twą istotę, rozbita na tysiąc promieni, sprawi ci męki najsrozsze; albowiem zmysłowość rodzi żądzę, a rozkosz najwyższa wniecona przez iskrę, którą w ciebie rzucę, będzie beznadziejnym bólem, w którym zginiesz, by narodzić się znowu, lecz w innej, obcej sobie postaci. Tą iskrą jest myśl!” „Ach — skarżyła się lilia — czemuż nie mogę być twoją w tym płomieniu, jaki teraz we mnie płonie? Czyż mogłabym cię kochać więcej niż teraz, czyż mogłabym patrzeć na ciebie jak teraz, gdybyś mnie zniszczył?” I pocałował ją młodzieniec Fosforus i jakby na wskroś światłem przeniknięta, stanęła cała w płomieniach, z których powstała nowa, obca istota, co szybko uleciała w doliny, by krążyć po nieskończonych przestworzach, ani dbając o rówieśników młodości, ani też o ukochanego młodzieńca. A ten oplakiwał utraconą kochankę, gdyż i jego także tylko bezgraniczna miłość do pięknej lilii sprowadziła w samotną dolinę; a skały z granitu pochylały swe głowy, współczując boleści młodzieńca. Ale jedna ze skał otworzyła swe łono i z szumem potężnych skrzydeł wyleciał z niej czarny smok i powiedział: „Bracia moi — metale drzemią tam w głębinach, ale ja nie śpię, ja czuwam i chcę ci dopomóc.” — I wznosząc się, opadając i krążąc, smok chwycił wreszcie istotę z lilii poczętą, zaniósł ją na pagórek i wziął ją pod swoje skrzydła; a wtedy na powrót stała się lilią, ale pozostała w niej myśl i szarpała jej wnętrze, a miłość ku młodzieńcowi Fosforusowi stała się palącym bólem, od którego, owiane jadowitymi dymy<sup>26</sup>, więdły i umierały kwiaty, co dawniej cieszyły się jej widokiem. Młodzieniec Fosforus włożył lśniący pancerz, mieniący się tysiącem barw i promieni i walczył ze smokiem, który uderzył swym czarnym skrzydłem o zbroję, aż jasny, mocny dźwięk rozbrzmiał w dolinie; a od tego potężnego dźwięku znowu ożyły kwiaty i trzepotały się jak barwne ptaki wkoło smoka, aż opuściły go siły, aż, zwyciężony, ukrył się w ziemi głębinach. Lilia była wolna, młodzieniec Fosforus objął ją pefen palącego pożądania, niebiańskiej miłości, a w uniesieniu radosnym pokłoniły się jej kwiaty i ptaki, i nawet wysokie skały z granitu, jako królowej doliny.

— Przepraszam pana, to są jakieś wschodnie bajdy, szanowny panie archiwariuszu! — odezwał się pan registrator Heerbrand — my zaś prosiliśmy pana przecież, abyś nam pan, jak to pan zwykle czyni, opowiedział coś ze swojego tak bardzo osobliwego życia, na przykład jaką przygodę z podróży, no, ale przecież coś prawdziwego.

<sup>26</sup>dymy — dziś popr. forma N.Im: dymami. [przypis edytorski]

— Więc o cóż chodzi? — odpowiedział pan archiwariusz Lindhorst. — To, co wam opowiedziałem, jest czymś jak najbardziej prawdziwym, co właśnie miałem na podorędziu dla was, a co zarazem łączy się w pewien sposób z moim życiem. Gdyż ja właśnie pochodzę z owej doliny, a płomienista lilia, która tam była królową, jest moją prapraprababką, wskutek czego jestem właściwie księciem.

Wszyscy wybuchnęli niepoohamowanym śmiechem.

— Śmiećcie się sobie z całego serca — mówił dalej archiwariusz Lindhorst — to, co tu, zresztą dość pobieżnie, opowiedziałem, może się wam zapewne wydawać wariackie i głupie, ale swoją drogą nic ma w tym ani cienia niedorzeczności, ani też nawet żadnej alegorii<sup>27</sup>, tylko dosłowna prawda. Gdybym był wiedział, że tak mało przypadnie wam do gustu ta wspaniała historia miłosna, której i ja także zawdzięczam swe istnienie, byłbym wam opowiedział raczej coś niecoś o nowinach, których mi dostarczył mój brat podczas wczorajszych odwiedzin.

— Aa, jak to?! Więc pan ma brata, panie archiwariuszu? Gdzież on jest? Gdzie mieszka? Czy jest także urzędnikiem królewskim albo może prywatnym uczonym? — zapytywano ze wszystkich stron.

— Nie! — odpowiedział chłodno archiwariusz, zażywając niedbale niuch tabaki — on zszedł na złą drogę i przystąpił do smoków.

— Jakże to pan był łaskaw powiedzieć, najszanowniejszy panie archiwariuszu? — zabrał głos registrator Heerbrand. — Do smoków?!

— Do smoków?! — rozległo się ze wszystkich stron jak echo.

— Tak, do smoków — mówił dalej archiwariusz Lindhorst. — Była to właściwie desperacja. Wiadomo wam, moi panowie, że mój ojciec umarł bardzo niedawno, najwyżej trzysta osiemdziesiąt pięć lat temu — dlatego też noszę jeszcze żalobę; otóż on właśnie pozostawił mi w spadku, jako swemu ulubieńcowi, wspaniałą onyks<sup>28</sup>, który brat mój chciał posiąść za wszelką cenę. Przy zwłokach ojca pokłóciliśmy się o ten klejnot tak bezwstydnie, że nieboszczyk stracił cierpliwość, zerwał się i zrzucił mego brata ze schodów. Ten zaś tak bardzo to sobie wziął do serca, że stante pede przystąpił do smoków. Obecnie mieszka w jakimś lasku cyprysowym niedaleko Tunisu i tam pilnuje sławnego mistycznego karbunkułu<sup>29</sup>, na który czatuje jakiś piekielny nekromanta<sup>30</sup>, co bawi<sup>31</sup> na letnim mieszkaniu w Laponii; dlatego też brat — jeżeli mi chce przelotnie opowiedzieć, co tam dobrego słychać u źródeł Nilu — może zejść z posterunku za ledwie na kwadransik, kiedy nekromanta opatruje właśnie w ogrodzie swe grzędy salamander.

Po raz drugi obecni wybuchnęli szalonym śmiechem, ale studentowi Anzelmusowi zrobiło się po prostu straszno. Nie mógł spojrzeć w surowe, jakby zamarłe oczy archiwariusza Lindhorsta, aby nie zadrzeć do głębi w niepojęty dla niego samego sposób. Chwilami szorstki, ale dziwnie metalicznie brzmiący głos archiwariusza Lindhorsta miał dlań coś tak tajemniczo wnikliwego, że czuł, jak mu szpik w kościach tężeje.

Zdawało się, że niepodobna<sup>32</sup> będzie już dzisiaj osiągnąć właściwego celu, dla którego registrator Heerbrand zabrał ze sobą młodzieńca do kawiarni. Po owym wypadku przed domem archiwariusza Lindhorsta nie można było w żaden sposób namówić studenta Anzelmusa, aby odważył się pójść tam po raz drugi. Bo według jego najgłębszego przekonania tylko przypadek ocalił go, jeśli nie od śmierci, to w każdym razie od niebezpieczeństwa pomieszania zmysłów. Konrektor Paulmann przechodził przez ulicę właśnie wtedy, kiedy młodzieniec leżał bez przytomności przed bramą, a jakaś stara kobieta — odstawiając na bok swój kosz z jabłkami i ciastkami — zajmowała się nim. Konrektor Paulmann sprowadził natychmiast nosze i kazał go przenieść do domu.

— Można o mnie myśleć, co się komu podoba — mówił student Anzelmus — można mnie uważać za wariata albo nie, dość, że na młocie przed bramą wykrzywiła się, wyszczerzyła na mnie przekłętą twarz czarownicy spod Czarnej Bramy; co się potem stało,

<sup>27</sup> *allegoria* — symboliczne przedstawienie jakiejś treści, zwykle z pomocą personifikacji i animizacji. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *onyks* — pasiasty kamień półszlachetny. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *karbunkuł* (daw.) — rubin. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *nekromanta* — czarownik ożywiający zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *bawić* (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

otym już wolę wcale nie mówić; ale gdybym, ocuciwszy się z omdlenia, zobaczył przed sobą znowu tę piekielnicę, co jabłka sprzedaje (boć to ona właśnie pochylała się tam nade mną), to w jednej chwili dostałbym jakiegoś ataku sercowego albo pomieszania zmysłów.

Wszystkie namowy, wszelkie rozsądne przedstawienia konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda nie doprowadzały do niczego, nawet niebieskooka Weronika nie mogła go wyrwać ze stanu jakiegoś głębokiego zamyślenia, w które się pogrążył. Zaczęto go wreszcie uważać za istotnie chorego umysłowo i szukano sposobów, aby go rozerwać, a registrator Heerbrand przypuszczał, że najskuteczniejszym na to sposobem będzie zajęcie u archiwariusza Lindhorsta, a mianowicie kopiowanie rękopisów. Stąd powstał zamiar, by przy jakiejś okazji przedstawić studenta Anzelmusa archiwariuszowi Lindhorstowi, a ponieważ registrator Heerbrand wiedział, że ten bywa prawie co wieczór w pewnej znanej kawiarni, zaprosił studenta Anzelmusa, aby co wieczór tam zachodził i na jego koszt wypijał przy fajce szklankę piwa, aby czynił to dopóty, dopóki w ten lub inny sposób nie zawrze znajomości z archiwariuszem i nie omówi ostatecznie sprawy przepisywania rękopisów. Student Anzelmus zgodził się na ten projekt z największą wdzięcznością.

— Będzie pan miał zasługę przed Bogiem, szanowny registratorze, jeżeli pan przeprowadzi do rozumu tego młodzieńca — mówił konrektor Paulmann.

— O, tak, zasługę przed Bogiem! — powtórzyła Weronika, podnosząc pobożnie oczy ku niebu i myśląc jednocześnie, że student Anzelmus już teraz jest przecież bardzo miłym młodzieńcem, nawet bez tego rozumu!

Kiedy więc archiwariusz Lindhorst, z kapeluszem i laską w ręku, chciał już właśnie skierować się ku drzwiom, registrator Heerbrand chwycił szybko studenta Anzelmusa za rękę i zastępując z nim razem drogę archiwariuszowi, powiedział:

— Najzacniejszy panie archiwariuszu, oto jest niezwykle biegły w kaligrafii i rysunku student Anzelmus, który pragnie przepisywać pańskie rzadkie rękopisy.

— Niezwykle mi przyjemnie — odparł szybko archiwariusz Lindhorst, wcisnął na głowę swój trójkątny, żołnierski kapelusz, i usunąwszy na bok registratora Heerbranda i studenta Anzelmusa, zbiegł z ogromnym hałasem ze schodów, tak że obaj stanęli w osłupieniu, wytrzeszczając oczy na drzwi, które im zatrzasnął przed nosem, aż zawiasy zazgrzytały.

— To jest doprawdy zupełnie zdumiewający starzec — rzekł registrator Heerbrand.

— Zdumiewający starzec... — wybelkotał student Anzelmus, czując, jak lodowaty strumień mrozi mu wszystkie żyły, tak że nieledwie skamieniał w nieruchomy posąg.

Ale wszyscy goście śmieli się, mówiąc:

— Pan archiwariusz był dzisiaj znowu w swoim dziwnym humorze, jutro zaś pewno będzie łagodny, cichy i nie przemówi ani słowa, będzie wpatrywał się w kłęby dymu z fajki lub czytał dzienniki; nie trzeba na to zupełnie zwracać uwagi.

Tak, to prawda — myślał student Anzelmus — któż by na to zważał! Czyż archiwariusz nie powiedział, że mu jest niezwykle przyjemnie, że chce mu przepisywać rękopisy? Bo i dlaczegoż registrator Heerbrand zastąpił mu drogę właśnie wtedy, kiedy on chciał iść do domu? Nie, nie, to jest w gruncie rzeczy kochany człowiek ten pan tajny archiwariusz Lindhorst i zdumiewająco liberalny, tylko ma dziwny sposób rozmawiania. W ogóle, co mi to szkodzi? Idę tam jutro punktualnie o dwunastej — i niech się temu sprzeciwi choćby sto sprzedawczyń jabłek w brzącie odlanych!

## WIGILIA CZWARTA

*Melancholia studenta Anzelmusa. — Szmaragdowe zwierciadło. — Jak archiwariusz Lindhorst odleciał jako olbrzymi sęp, a student Anzelmus nie napotkał nikogo.*

Zapytam chyba po prostu ciebie samego, łaskawy czytelniku, czyś nie miewał w swym życiu takich godzin, ba! takich dni i tygodni, w których wszystkie twoje codzienne sprawy wzbudzały w tobie męczący niesmak i nudę, i w których wszystko, co uważałeś za godne twych myśli, naraz<sup>33</sup> okazywało się niedorzecznym i marnym? Sam nie wiedziałeś

Melancholia

<sup>33</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

wtedy, co robić i dokąd się zwrócić; pierś napępniało ci jakieś głuche uczucie, że gdzieś kiedyś musi się spełnić takie marzenie, wobec którego wszelka rozkosz ziemską jest niczym, i którego twój duch, jak trwożliwe, surowo chowane dziecię, nie śmie nawet wypowiedzieć; a w tęsknocie owej za tym nieznanym, co niby sen pachnący wszędzie, gdzie tylko byłeś, dokądeś tylko szedł, otaczało cię przejrzystymi postaciami, rozplywającymi się pod bystrzejszym spojrzeniem, stawałeś się głuchy na wszystko, co cię otaczało. Mętnym wzrokiem patrzałeś wokoło, jak zakochany beznadziejnie, i całe to barwne ludzkie targowisko, co kotłowało się przed twymi oczyma, nie sprawiało ci ani bólu, ani radości, jakbyś już nie należał do tego świata.

Jeżeliś, miły czytelniku, przechodził kiedy takie chwile, to znasz już z własnego doświadczenia stan, w jaki popadł student Anzelmus.

W ogóle chciałbym, aby mi się już teraz udało, miły czytelniku, jak najżywiej przedstawić twoim oczom studenta Anzelmusa. Bo w rzeczy samej, w nocie bezsenne, które poświęcam opisywaniu jego niesłychanie dziwnej historii, tyle naopowiadałem rzeczy zdumiewających, jak upiorne widziadła wyplaszających mi życie codzienne zwyczajnych ludzi, że niepokój mnie ogarnia, czy w końcu nie przestaniesz wierzyć zarówno w studenta Anzelmusa, jak i w archiwariusza Lindhorsta, ba, może nawet poweźmiesz pewne wątpliwości co do konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda, chociaż przynajmniej ci dwaj ostatni zaciężni mężowie teraz jeszcze przechadzają się po Dreźnie.

Spróbujże więc, miły czytelniku, w tym państwie bajecznym, pełnym wspaniałych dziwów, które aż do dna wstrząsają duszę to błogością najwyższą, to przerażeniem okropnym, ach, tam, gdzie nieubłagana bogini uchyla zasłony, że mający się nam, iż oglądamy jej oblicze — ale nierzadko uśmiech przebłyśnie w surowym spojrzeniu, i to jest słonecznie drażniący żart, który igra z nami we wszelkich oszołamiających cudach, tak jak matka przekomarza się z najukochańszymi dziećmi — tak! w tym państwie, które nam duch otwiera tak często — przynajmniej we śnie — spróbuj, miły czytelniku, wyobrazić sobie poznane już postacie takimi, jakimi je widzisz koło siebie w codziennym lub, jak to się mówi, w pospolitym życiu. Uwierzysz wtedy, że całe to wspaniałe państwo bliższym ci jest, niż to zwykle przypuszczał — i to właśnie jest moim najserdeczniejszym pragnieniem, do tego zmierzam w zadziwiającej opowieści o studentcie Anzelmusie.

Otóż, jak powiedziałem, student Anzelmus, od owego wieczora, kiedy ujrzał archiwariusza Lindhorsta, popadł w jakąś marzycielską zadumę, która uczyniła go zupełnie bezwrażliwym na wszelkie zewnętrzne objawy codziennego życia. Czuł, jak poruszała mu się w głębinach duszy jakaś moc nieznaną i sprawiała ten ból rozkoszny, który jest właśnie tęsknotą, co zwiastuje człowiekowi inne, wyższe istnienie. Najmilej mu było, gdy błędził samotnie po łąkach i lasach, kiedy mógł, wolny od wszystkiego, co wiązało go z jego ciężkim życiem, patrzeć jeno w przeróżne obrazy, wykwitające z głębin jego własnej duszy, i odnajdywać w nich siebie samego.

I zdarzyło się, że raz, wracając tak z jakiegoś dalekiego spaceru, przechodził koło tego szczególnego bzu, pod którym wówczas, jak zaczarowany, ujrzał tyle nadzwyczajności; uczył, że go zdumiewająco przyciąga zielony szmat murawy, lecz zaledwie się tam usadowił, gdy wszystko, co widział wtedy jakby w niebiańskim zachwycie i co wyparła mu z duszy jakby obca jakaś siła, zamajaczyło mu znowu przed oczami jak żywe, jakby zobaczył to po raz drugi. Ba! Zdawało mu się jeszcze wyraźniej niż wtedy, że te rozkoszne, ciemnobłękitne oczy należą do złotozielonego węża, wysuwającego się z wnętrza bżowego drzewa i że w wijących się skrętach wysmukłego ciała znów wybłysną te precudne dźwięki kryształowych dzwonów, które go napępniały taką błogością i zachwytem. I tak jak wówczas w dzień Wniebowstąpienia, objął pień bzu i wołał w gęstwę gałęzi i liści:

— Ach, jeszcze raz cię zobaczyć, cudny, zielony wężyku! Jak się przewijasz, jak się prześlizgujesz, jak bujasz wśród gałęzi! Tylko raz na mnie spojrzij swymi rozkosznymi oczami! Ach, ja ciebie tak kocham, ja przecież zginę marnie z żalu i boleści, jeżeli nie powrócisz!

Jednakże głucha cisza panowała dokoła — i tylko bez szeleścił gałązkami i liśćmi, całkiem niezrozumiale, jak wówczas.

Lecz studentowi Anzelmusowi zdało się, że już wie, co mu się tak poruszało niepokojąco w głębi duszy, ach, co mu pierś rozdzierało w bólu bezmiernej tęsknoty.

— Czyż może to być co innego — mówił — niż to, że ja cię tak zupełnie, całą duszą, tak śmiertelnie kocham, ty precudny, złoty wężyku, że ja bez ciebie nie mogę żyć, że będę musiał zginąć w beznadziejnej nędzy, jeżeli nie zobaczę już ciebie, jeżeli nie będziesz moją, ukochaną serca mojego — ale ja wiem, że będziesz moją, a wtedy spełni się wszystko, co zwiastują mi przepiękne marzenia z innego, wyższego świata.

Odtąd student Anzelmus chodził pod bzowe drzewo co wieczora, kiedy słońce sypało płomienistym złotem już tylko na wierzchołki drzew, i z głębi piersi, najżałośliwszymi tony<sup>34</sup> wołał w gęstwą gałęzi i liści, przywoływał swoją słodką ukochaną, złotozielonego wężyka.

Kiedy pewnego razu uczynił to w zwykły sposób, nagle zjawił się jakiś wysoki, chudy pan, owinięty szerokim, jasnoszarym płaszczem, i zawołał błyskając ku niemu wielkimi, ognistymi oczyma:

— Hej, hej! A co tam tak jęczy i zawodzi? Hej, hej, przecież to pan Anzelmus, który chce przepisywać moje rękopisy.

Studenta Anzelmusa niemało przeraził ten potężny głos: bo to był ten sam, który wołał wówczas, w dzień Wniebowstąpienia: „Hej, hej! A cóż to tam za hałasy i gwary!?” Nie mógł słowa wydobyć ze zdumienia i strachu.

— No, cóż panu jest, panie Anzelmie? — mówił dalej archiwariusz Lindhorst (bo on był właśnie tym panem w białawoszarym płaszczu). — Czegóż pan chce od tego bzu i czemuż pan do mnie nie przyszedł, by rozpocząć swą pracę?

Istotnie, student Anzelmus nie wymógł jeszcze tego na sobie, by odwiedzić archiwariusza Lindhorsta w jego mieszkaniu, chociaż co wieczór ośmielał się do tego kroku; ale teraz, gdy ujrzał, że mu przerwano jego piękne marzenia i to jeszcze za sprawą tego samego wrogiego głosu, który mu już wówczas zabrał ukochaną, ogarnęła go jakaś rozpacz i wybuchnęła gwałtownie:

— Panie archiwariuszu! Może mnie pan uważać za wariata albo nie, to mi wszystko jedno, ale tutaj, na tym drzewie, ujrzałem w dzień Wniebowstąpienia złotozielonego węża, ach! tę na wieki ukochaną mej duszy! I ona przemówiła do mnie precudnymi dźwiękami z kryształu, ale pan — pan, panie archiwariuszu, pan — tak okropnie krzyknął i zawołał przez wodę...

— Czyżby, mój łaskawco? — przerwał mu archiwariusz Lindhorst, z bardzo szczególnym uśmiechem zażywając tabaki.

Student Anzelmus czuł, że mu ciężar spadł z piersi, skoro dano mu raz wreszcie sposobność wypowiedzieć się o tej zadziwiającej przygodzie, i wydało mu się już zupełnie słuszne, że wprost oskarżał archiwariusza: on właśnie był tym, który wtedy tak zagrzmiął z daleka. Zebrał się w sobie i rzekł:

— No, to już teraz opowiem wszystkie fatalności, które mi się wydarzyły w wieczór Wniebowstąpienia, a potem może pan sobie mówić i w ogóle myśleć o mnie, co się panu podoba.

I rzeczywiście, opowiedział całą swą nadzwyczajną przygodę, począwszy od nieszczęśliwego upadku w kosz jabłek aż do ucieczki trzech złotozielonych wężyków przez rzekę i do tego, jak go ludzie uważali potem za pijanego lub niespełna rozumu.

— Wszystko to — zakończył student Anzelmus — widziałem naprawdę i mocnym echem dźwięczą mi jeszcze w głębi piersi te słodkie głosy, które mówiły do mnie; żadną miarą to nie mógł być sen i jeżeli nie mam umrzeć z miłości i tęsknoty, to muszę wierzyć w złotozielone węże, choć widzę z pańskiego uśmiechu, szanowny panie archiwariuszu, że pan uważa właśnie te węże za plód mojej rozgorączkowanej, nadmiernie wybujałej wyobraźni.

— Bynajmniej — odparł archiwariusz z największym spokojem i zimną krwią. — Owe złotozielone węże, któreś pan widział, panie Anzelmusie, w bzowym krzaku, były to właśnie moje trzy córki, no i żeś się pan bez pamięci zakochał w niebieskich oczach najmłodszej, której na imię Serpentyna — to już teraz chyba rzecz oczywista. Wiedziałem o tym zresztą już w dzień Wniebowstąpienia, a ponieważ, kiedym siedział u siebie w domu przy pracy, za wiele mi już było tego hałasu i dźwięczenia, więcem krzyknął tym

<sup>34</sup>tony — dziś popr. forma N.lm: tonami. [przypis edytorski]

rozpuszczonym dziewczynom, że czas wracać do domu, bo już słońce zachodzi, a one dość już nacieszyły się śpiewem i upoiły promieniami.

Student Anzelmus poczuł się tak, jakby mu wyraźnie i zrozumiale powiedziano to, co już dawno przeczuwał; i chociaż jednocześnie zauważył jakby, że bżowy krzak, mur, darnina i wszystkie przedmioty zaczynają się z wolna obracać wokoło, to jednak skupił się w sobie i chciał coś powiedzieć, ale archiwariusz nie dał mu przyjść do słowa, szybko ściągnął rękawiczkę z lewej dłoni i podsunął mu przed oczy błyskający zdumiewającymi iskrami i płomieniami kamień pierścienia, rzekł:

— Spójrz no pan tu, drogi panie Anzelmusie; możesz się pan ucieszyć z tego, co pan zobaczysz.

Student Anzelmus spojrział — i o dziwo! Kamień ciskał wokoło promienie niby płonące ognisko, a promienie te sprzęgły się w świecące, kryształowe zwierciadło, w którym przewijały się na wszystkie strony trzy złotozielone węże, to goniąc się, to owijając siebie nawzajem, tańcząc i skacząc. A kiedy te wysmukłe ciała, błyskające tysiącem iskier, zetknęły się z sobą, zadźwięczały wspaniałe akordy, jak dzwony z kryształu, a ze zwierciadła wysunęła się główka, jakby pełna tęsknoty i pożądania, i ciemnobłękitne oczy wyrzekły:

— Poznajesz mnie? Myślisz o mnie — Anzelmusie? Tylko w wierze jest miłość. Ach, czyż ty umiesz kochać?

— O Serpenty, Serpenty! — krzyknął Anzelmus w obłądnym zachwycie; ale archiwariusz Lindhorst szybko chuchnął na zwierciadło i z elektrycznym trzaskaniem promienie wróciły do ogniska, a na jego ręce lśnił już tylko mały szmaragd, który archiwariusz skrył pod rękawiczką.

— Widziałeś pan złotozielone węże, panie Anzelmusie? — zapytał archiwariusz Lindhorst.

— Ach, Boże, tak! — odpowiedział student — i lubą, słodką Serpentyne.

— Cicho! — mówił dalej archiwariusz Lindhorst — Dosyć na dzisiaj! W ogóle, jeżelibyś pan zechciał u mnie pracować, mógłbyś pan dosyć często widywać moje córki, a tym chętniej panu uczynię tę przyjemność, im lepiej pan się będziesz sprawował przy pracy, to znaczy, im dokładniej i schludniej wypadnie przepisywanie. Ale przecież pan wcale do mnie nie przychodzisz, chociaż pan registrator Heerbrand zapewniał, że pan się zgłosi w najbliższym czasie — i oto na próżno oczekuję przez tyle dni.

Kiedy archiwariusz Lindhorst wymówił nazwisko Heerbranda, student Anzelmus doznał wrażenia, że wreszcie znowu stoi obydwoma nogami na ziemi i że jest naprawdę studentem Anzelmusem, a stojący przed nim mężczyzna — archiwariuszem Lindhorstem. Obojętny ton, jakim ten ostatni przemawiał, miał w sobie, w jaskrawym przeciwieństwie do zdumiewających zjawisk, które jak prawdziwy czarodziej wywoływał, coś przerażającego, a wrażenie to powiększało jeszcze świdrujące spojrzenie iskrzących się oczu, które promieniowały z kostnych czeluści chudej, pomarszczonej twarzy, jak z wnętrza muszli jakiejś, i studenta Anzelmusa ogarnęło potężnie to samo niepokojące, straszne uczucie, które owładnęło nim już raz w kawiarni, kiedy archiwariusz opowiadał tyle dziwacznych rzeczy. Z trudnością zdołał się jako tako opanować i kiedy archiwariusz zapytał raz jeszcze: — No i dlaczegoś pan nie przychodził? — przemógł się na tyle, że opowiedział o wszystkim, co mu się wydarzyło pod bramą.

— Kochany panie Anzelmie! — rzekł archiwariusz, skoro student ukończył swoje opowiadanie. — Kochany panie Anzelmie, dobrze znam tę przekupkę, o której pan byłś łaskaw mówić; jest to fatalna kreatura, która płata mi najrozmaitsze figle, a że teraz w błąd się zmieniła, by jako kołatka u drzwi odstraszać miłych mi gości, to jest istotnie nie do zniesienia. Ale może byś pan był tak dobry, szanowny panie Anzelmie, kiedy pan przyjdiesz do mnie jutro o dwunastej i zauważysz znowu coś z tego wykrzywania się i zgrzytania, skropić jej trochę nos odrobiną tego płynu; wtedy wszystko od razu będzie w porządku. A teraz, *adieu*<sup>35</sup>! kochany panie, muszą pójść nieco szybciej, więc nie namawiam pana, abyśmy razem wrócili do miasta. *Adieu!* do widzenia, jutro o dwunastej.

Archiwariusz dał studentowi Anzelmusowi mały flakonik z jakąś złotożółtą cieczą i odszedł tak szybko, że w głębokim zmroku, jaki tymczasem zapadł, zdawał się raczej spływać w dolinę niż schodzić. Już był niedaleko ogrodu Cosel, kiedy wiatr wyduł szeroki

<sup>35</sup>*adieu* (fr.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

plaszcz i rozwiął poły tak, że trzepotały w powietrzu jak dwa ogromne skrzydła, a studentowi Anzelmusowi, który patrzył za nim ze zdziwieniem, zdawało się, że to wielki ptak rozpościera skrzydła do szybkiego lotu.

A kiedy tak student wpatrywał się w zmrok, gdzieś wysoko podniósł się z przeraźliwym krakaniem jakiś białawoszary sęp i młodzieniec zdał sobie sprawę, że to białawe ptaszysko, które brał za odchodzącego archiwariusza, musiało być właśnie owym sępem, chociaż znów nie mógł zrozumieć, gdzie podział się tak nagle archiwariusz.

— No, ale on mógł równie dobrze stąd odlecieć sam, we własnej osobie, ten pan archiwariusz Lindhrost — rzekł do siebie student Anzelmus — bo ja przecież teraz widzę i czuję doskonale, że wszystkie te obce postacie z dalekiego, bajecznego świata, którem widywał tylko w szczególnych, nadzwyczajnych snach, teraz na jawie wstąpiły w moje rzeczywiste życie i wciągnęły mnie w swoją grę. Ale niech tam będzie, co chce! Ty żyjesz i płoniesz w mej piersi, słodka, najmiłsza Serpentyno, ty tylko możesz uciszyć tę bezmierną tęsknotę, która mi duszę rozdziera. Ach! Kiedyż będę mógł spojrzeć w twoje rozkoszne oczy, ukochanie ty moje, Serpentyno!

Tak zawołał student Anzelmus na cały głos.

— To jest paskudne, niechrześcijańskie imię — mruknął tuż obok niego jakiś głos basowy, należący do wracającego ze spaceru przechodnia.

Student Anzelmus, w porę przypomniawszy sobie, gdzie był, uszedł stamtąd co prędzej, myśląc w głębi duszy:

Czyżby to nie było prawdziwe nieszczęście, gdyby mnie tak teraz spotkał konrektor Paulmann albo registrator Heerbrand!

Ale nie spotkał żadnego z nich.

## WIGILIA PIĄTA

*Pani Anzelmusowa, radczyni dworu.* — Cicero de officiis<sup>36</sup>. — *Koczkodany i inne gałgani-stwo.* — *Stara Elżbieta.* — *Aequinoctium*<sup>37</sup>.

— Doprawdy, z tym Anzelmusem nie można teraz w żaden żywy sposób dojść do ładu — mówił konrektor Paulmann — wszystkie moje nauki i napomnienia to groch o ścianę, nic mu się nie chce robić, chociaż posiada jak najlepsze wykształcenie, które jest przecież podstawą wszystkiego.

Ale registrator Heerbrand odpowiedział, uśmiechając się przebiegle i tajemniczo:

— Zostawże pan Anzelmusowi trochę czasu, najszanowniejszy konrektorze, to jest dziwaczny jegomość, ale w nim coś tkwi, a jeżeli mówię „coś”, to znaczy: sekretarz tajny albo może nawet radca dworu.

— Rad... — zaczął konrektor w najwyższym zdumieniu. Wyraz ten ugrzązł mu w gardle.

— Cicho, cicho — mówił dalej registrator Heerbrand — co wiem, to wiem! On już od dwóch dni siedzi u archiwariusza Lindhorsta i przepisuje; a archiwariusz powiedział mi wczoraj wieczorem w kawiarni: „Poleciłeś mi pan, drogi panie, dzielnego młodzieńca, z którego będą ludzie”. No, a teraz zastanów się pan nad stosunkami archiwariusza... Cicho, cicho, pomówimy o tym po roku!

Z tymi słowy pan registrator, wciąż uśmiechając się przebiegle, otworzył drzwi i wyszedł, pozostawiając osłupiałego ze zdumienia i ciekawości konrektora, przykutego do krzesła.

Ale na Weronikę rozmowa ta podziałała w osobliwy sposób.

Czyż nie wiedziałam zawsze — myślała — że pan Anzelmus jest bardzo rozsądnym, bardzo miłym młodzieńcem, z którego jeszcze coś wielkiego wyrośnie? Żebym tylko wiedziała, czy on mi naprawdę sprzyja! Ale czyż nie ścisnął mnie dwa razy za rękę tego wieczora, kiedyśmy jechali po Elbie? Czyż nie patrzył na mnie podczas duetu takim szczególnym wzrokiem, który aż w serce przenika? Tak, tak, on mi naprawdę sprzyja, a ja...

<sup>36</sup>*De officiis* — traktat Marka Tulliusza Cyncerona (106–43 p.n.e.), poświęcony moralnym zobowiązaniom człowieka. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*aequinoctium* (łac.) — zrównanie dnia z nocą. [przypis edytorski]



Tu Weronika, jak to zwykle czynią młode dziewczęta, oddała się całkowicie słodkim marzeniom o różowej przyszłości. Była panią radczynią dworu, mieszkała w pięknym domu przy Schlossgasse albo przy Neumarkt, albo przy Moritzstrasse — w modnym kapeluszu i nowym, tureckim szalu było jej bardzo do twarzy. Jadła śniadanie w eleganckim negliżu<sup>38</sup>, na ganku, wydając odpowiednie rozporządzenia kucharce. — Ale nie zepsujże mi tego dania, bo to ulubiona potrawa pana radcy dworu! — Przechodzący eleganci strzelają w górę oczami, słyszy wyraźnie słowa: — Jakaż to boska kobieta ta pani radczyni dworu, jakże jej ślicznie w tym koronkowym czepku! — Pani radczyni Ipsylon przysła służącego z pytaniem, czy pani radczyni dworu nie życzyłaby sobie pojechać dziś do Linka. — Proszę najuprzejmiej kłaniać się pani, jest mi nieskończenie przykro, ale jestem już proszona na herbatę do prezydenta T. — Tu wraca pan radca dworu Anzelmus, który już wczesnym rankiem wyszedł za interesami; ubrany jest według ostatniej mody; — Doprawdy, już dziesiąta! — woła, patrząc na złoty zegarek i całując żonę. — Cóż tam słyhać, żonusi najdroższa, a czy wiesz, co mam dla ciebie? — dodaje filuternie i wyciąga z kieszeni kamizelki parę wspaniałych kolczyków, zrobionych według ostatnich wzorów, i zawiesza jej zamiast tych, jakie dotąd nosiła.

— Ach, jakie śliczne, miłe kolczyki! — woła Weronika na cały głos i zrywa się z krzesła, porzucając robotę, aby rzeczywiście zobaczyć w lustrze te kolczyki.

— He? A toż co znowu — rzekł konrektor Paulmann, który, zagłębiając się w *Cicero de officiis*, omalże nie upuścił książki — takie same napady, jak u Anzelmusa.

Ale wtem właśnie wszedł do pokoju student Anzelmus, który, wbrew zwyczajowi, nie pokazywał się od kilku dni, a Weronikę ogarnął strach i zdumienie, bo rzeczywiście był zmieniony w całym swoim jestestwie. Z pewną stanowczością, która wcale nie była mu właściwa, mówił o niespodziewanym zwrocie, jaki zaszedł w jego życiu, o wspaniałych widokach, jakie się przed nim otworzyły, ale których niejednen nie potrafiłby nawet dostrzec.

Konrektor Paulmann, przypominając sobie tajemnicze przepowiednie registratora Heerbranda, był jeszcze bardziej zmieszany i ze zdumienia nie mógł słowa wykrztusić, kiedy student Anzelmus, rzuciwszy jeszcze kilka słów o bardzo pilnej robocie u archiwariusza Lindhorsta i pocałowawszy z wytworną elegancją rękę Weroniki, zbiegł ze schodów, i tyle go widziano.

— To był już radca dworu — szepnęła do siebie Weronika — i pocałował mnie w rękę, nie pośliznąwszy się przy tym ani nie nastąpiwszy mi nawet na nogę, jak zwykle! Rzucił mi bardzo tkliwe spojrzenie — on mi naprawdę sprzyja.

Weronika na nowo oddała się swym marzeniom, lecz teraz coś, jakby jakaś wroga postać, mąciło ustawicznie rozsnuwające się lube zjawiska przyszłego życia domowego pani radczyni dworu. Postać ta śmiała się szydlerczo i mówiła: „Przecież to wszystko są wierutne, ordynarne głupstwa, a przy tym skłamane, bo ten Anzelmus nie będzie nigdy radcą dworu ani twoim mężem; przecież on ciebie nie kocha, chociaż masz niebieskie oczy i wysmukłą postać, i kształtną rękę”.

Lodowaty strumień zmroził duszę Weroniki, a głębokie prerażenie zniszczyło całą błogość, z jaką widziała się jeszcze przed chwilą w koronkowym czepku i eleganckich kolczykach. Łzy omal nie trysnęły jej z oczu i powiedziała głośno:

— Ach, przecież to prawda, on mnie nie kocha, nigdy nie będę panią radczynią dworu!

— Romansowe brednie! — krzyknął konrektor Paulmann, wziął kapelusz i łaskę i w złości wyszedł szybko.

— Tego jeszcze brakowało — westchnęła Weronika i rozgniewała się na dwunastoletnią siostrę, która siedziała przy swoich krosienkach, nie okazując żadnego współczucia, i w dalszym ciągu haftowała.

Tymczasem zbliżyła się już godzina trzecia, a zarazem czas, aby posprzątać w pokoju i przygotować wszystko do kawy; bo właśnie panny Oster zapowie działa przyjaciółce swe odwiedziny. Lecz spoza każdej szafeczki, którą Weronika przesuwiała, spoza zeszytów z nutami, które sprzątała z fortepianu, zza każdej filiżanki, zza imbryka do kawy, zza każdej rzeczy, którą wyjmowała z szafy, owa postać wyskakiwała jak chochlik i śmiała się szydlerczo i prztykała małymi pajęczymi paluszkami, i krzyczała: „To nie będzie twój

<sup>38</sup>negliz — niekompletny strój, bielizna. [przypis edytorski]

mąż — to nie będzie twój mąż!” A potem, gdy Weronika, porzuciwszy wszystko, uciekła na środek pokoju, coś olbrzymiego, z długim nosem wyjrzało zza pieca i zamruczało, i zawarczało: „To nie będzie twój mąż!”

— Siostró, czyż ty nie słyszysz, czyż ty nic nie widzisz? — krzyknęła Weronika, która bała się dotknąć czegokolwiek, trzęsąc się cała ze strachu.

Frania wstała bardzo poważnie i spokojnie od swoich krosienek i rzekła:

— Co ci się dzisiaj stało, siostró? Ciskasz wszystko jedno na drugie, że aż klekocze i brzęczy, muszę ci pomóc.

Ale tu weszły już z głośnym śmiechem wesołe panienki i w tej samej chwili Weronika uświadomiła sobie, że wzięła fryz<sup>39</sup> od pieca za jakąś postać, a skrzypienie źle zamkniętych drzwi za nieprzyjazne słowa. Jednakże, przerażona do głębi, nie mogła tak zaraz przyjść do siebie, żeby przyjaciółki nie zauważyły jej niezwyklego usposobienia, które zdradzała jej bladłość i twarz zmieniona. Skoro więc — przerwawszy wesołe opowiadanie o wszystkim, co miały do powiedzenia — napadły na przyjaciółkę, co ją też, u Boga Ojca, spotkała za przykrość, Weronika musiała wyznać, jak to oddała się pewnym całkiem niezwykle dumaniom, jak ją nagle w biały dzień ogarnęła jakaś szczególna trwoga przed duchami, co jej się nigdy nie zdarzało. I tak żywo opowiedziała, jak to ze wszystkich kątów pokoju jakiś maleńki, szary człowieczek drażnił ją i wydrwiwał, że panny Oster oglądały się trwożnie na wszystkie strony i wnet zrobiło się im jakoś nieswojo, a nawet wprost strasznie. Dopiero gdy weszła Frania z dymiącą kawą, wszystkie trzy oprzytomniały i śmiały się z własnej bezmyślności.

Aniela — tak nazywała się najstarsza panna Oster — była zaręczona z jakimś oficerem, który wyruszył gdzieś z armią i od tak dawna już wszelki słuch o nim zaginął, że nie można było wątpić o jego śmierci lub co najmniej o ciężkim poranieniu. To pogrzyżyło Anielę w głęboki smutek, ale dzisiaj była wesoła aż do pustoty<sup>40</sup>, co Weronikę niemało zdziwiło i co wyraziła też jej bez ogródek.

— Moja droga — rzekła Aniela — wierz mi, że ja wciąż noszę mego Wiktora w sercu, w duszy i w myślach. Dlatego też właśnie jestem tak wesoła! Ach, Boże! Tak szczęśliwa, taką błogość uczuwam w całej swojej istocie! Bo mój Wiktor ma się dobrze, zobaczę go już niezadługo jako rotmistrza, ozdobionego orderami, które zdobył dzięki swej bezgranicznej waleczności. Ciężka, ale wcale nie niebezpieczna rana w prawą rękę, od szabli huzara nieprzyjacielskiego, nie pozwala mu pisać, a ciągła zmiana miejsca, bo on nie chce w żaden sposób opuścić swego pułku, wciąż jeszcze uniemożliwia mu przesyłanie mi wiadomości o sobie; ale dzisiaj wieczorem ma otrzymać stanowczy rozkaz, by się wprawdzie zupełnie wyleczył. Jutro wyjeżdża, aby się stawić tutaj, a kiedy będzie wsiadał do powozu, dowie się o mianowaniu go rotmistrem.

— Ależ kochana Anielciu — przerwała jej Weronika — skądże o tym wszystkim już teraz się dowiedziałas?

— Nie wyśmiewaj się ze mnie, kochana przyjaciółko — mówiła dalej Aniela — ale ty tego chyba nie zrobisz, bo czyż za karę nie mógłby wyjrzeć tam zza tego lustra ów mały człowieczek? Dość, że nie mogę się uwolnić od wierzenia w pewne tajemnicze rzeczy, ponieważ bardzo często występują one w moim życiu zupełnie widocznie — mógłbym powiedzieć, że dotykalnie. Zresztą bynajmniej nie wydaje mi się tak dziwnym i niepojętym, jak niektórym innym, że mogą istnieć ludzie obdarzeni pewnym darem jasnowidzenia, którzy potrafią pobudzać do działania za pomocą znanych im niezawodnych środków. Jest tutaj niedaleko pewna stara kobieta, która ów dar posiada w wysokim stopniu. Nie wróży ona tak, jak inne jej koleżanki po fachu, z kart, roztopionego ołowiu lub fusów od kawy; ale po pewnych przygotowaniach, w których uczestniczy również zapytująca osoba, ukazują się w lśniącym wypolerowanym zwierciadle jakaś zdumiewająca mieszanina rozmaitych figur i postaci, które stara tłumaczy i z nich tworzy odpowiedź na zadane pytanie. Byłam u niej wczoraj wieczorem i otrzymałam owe wiadomości o moim Wiktorze, w ich prawdziwość nie wątpię ani na chwilę.

Opowiadanie Anieli roznieciło w sercu Weroniki iskrę, która wnet zapaliła myśl zapytania starej o Anzelmusa i o własne nadzieje. Dowiedziała się, że stara nazywa się pani

<sup>39</sup>fryz — dekoracyjny pas pod gzymsem. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>pustota (daw.) — lekkomyślna wesołość. [przypis edytorski]

Rauerin, że mieszka przy odludnej ulicy przed Bramą Morską, że można ją zastać tylko we wtorki, środy i piątki od siódmej wieczorem, potem już jednak przez całą noc aż do wschodu słońca, i że lubi, kiedy się do niej przychodzi samotnie.

Była właśnie środa i Weronika postanowiła pójść do starej, pod pozorem odprowadzenia panien Oster, co też istotnie uczyniła. I zaledwie pożegnała się z przyjaciółkami, które mieszkały na Neustadt, przed mostem na Elbie, wnet pomknęła szybko przed Bramę Morską i znalazła się wkrótce w owej odludnej, wąskiej uliczce, przy której końcu ujrzała mały, czerwony domek, w którym miała mieszkać pani Rauerin. Nie mogła się obronić przed dziwnym, trwożnym niepokojem, wprost przed wewnętrznym drżeniem, kiedy stanęła przed drzwiami tego domku. Wreszcie, nie zważając na odpychające uczucie, przemogła się i pociągnęła za dzwonek, na co drzwi się otworzyły; drepcząc po ciemnym korytarzu, omackiem dążyła ku schodom, prowadzącym na piętro, jak to objaśniła Aniela.

— Czy tu mieszka pani Rauerin? — zawołała w głąb pustej sieni, gdyż nikt się nie ukazywał; zamiast odpowiedzi rozległo się donośne, przeciągłe „miau” — i ogromny, czarny kocur z wysoko wygiętym grzbietem, chwiejąc w falistych skrętach ogonem tu i tam, zjawił się i poprowadził ją uroczyście aż do samych drzwi pokoju, które na drugie „miau” otworzono.

— Ach, patrzaj no, córuchno, już jesteś tu? Wejźże, wejź!

Tak zawołała wychodząca z pokoju postać, której widok przygwoździł Weronikę do podłogi. Wysoka, chuda kobieta, owinięta czarnymi gałganami! Kiedy mówiła, chybotwała się jej wystająca, ostra broda, przeciągała się, wykrzywiła bezzębna gęba, ocieniona kościstym, jastrzębim nosem, w małpjo szydery uśmiech, a świecące, kocie oczy błyskały, ciskając iskry przez wielkie okulary. Z pstrej, owiniętej wokół głowy chusty wysterczały szczecinowate włosy, ale do ohydy podnosiły tę wstrętą twarz dwie wielkie oparzelizny, które plamiły lewy policzek, sięgając aż na nos.

Weronice oddech zaparło, a krzyk, który miał ulżyć zaciśniętej piersi, stał się głębokim westchnieniem, skoro koścista dłoń czarownicy chwyciła ją i wciągnęła do pokoju. A tam się wszystko ruszało i kotłowało, kwiczało, miauczało, skrzeczało i piszczalo jedno przez drugie, aż się w głowie mąciło.

Stara uderzyła pięścią w stół i krzyknęła:

— Cicho tam, hołoto!

I koczodany powłaziły, skowycząc, na wysoką kotarę nad łóżkiem, a świnki morskie pobiegły pod piec, a kruk się trzepotał na okrągłym lustrze; tylko czarny kocur, jakby go nic nie obchodziły obelżywe wymysły, siedział dalej spokojnie na ogromnym, miękkim krześle, na które wskoczył, skoro tylko wszedł.

Kiedy tak się uciszyło, Weronika nabrała otuchy; nie było już jej tu tak strasznie, jak tam, w sieni, a nawet kobieta nie wydawała się już jej tak odrażającą. Teraz dopiero rozejrzała się po pokoju.

Najrozmaitsze obrzydliwe, wypchane zwierzęta zwieszały się z powały<sup>41</sup>, jakieś przedziwne nieznanne przedmioty stosami zaścielały podłogę, a na kominie płonął skromny, błękitny ogień, który tylko od czasu do czasu trząskał żółtymi iskrami; ale wtedy przelatował szelest z góry na dół i wstrętne nietoperze, jakby z wykrzywionymi, śmiejącymi się ludzkimi twarzami, latały tu i ówdzie, a chwilami płomienie lizały poczerniały od sadzy mur i wtedy rozlegały się przeraźliwe, wyjące jęki, tak że Weronikę ogarniała trwoga i przerażenie.

— Za pozwoleniem, panieczko — rzekła stara z przymileniem, chwyciła ogromną kitę i zmaczawszy ją w wielkim, miedzianym kotle, pokropiła komin. Wtedy ogień zagaśł i pokój naraz<sup>42</sup> napelniły jakby gęste dymy, zrobiło się ciemno choć oko wykol. Ale wnet stara, która wyszła do jakiejś komórki, wróciła z zapaloną świecą i Weronika nie zobaczyła już ani śladu zwierząt, ani owych dziwacznych przedmiotów, był to zwyczajny, nędżnie urządzony pokój.

Stara podeszła do niej bliżej i rzekła charczącym głosem:

<sup>41</sup>powala (daw.) — drewniany strop. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

— Wiem doskonale, czego chcesz ode mnie, moja córuchno; chciałybyś się koniecznie dowiedzieć, czy posłubisz Anzelmusa, kiedy zostanie radcą dworu!

Weronika skamieniała ze zdumienia i strachu, ale stara mówiła dalej:

— Przecież powiedziałaś mi wszystko w domu u papy, kiedy stał przed tobą imbryk od kawy, ja byłam tym imbrykiem, cóż, nie poznałaś mnie? Córuchno, słuchaj! Odsuń się, odsuń od tego Anzelmusa, to obrzydliwy człowiek, on deptał po twarzach moim synkom, moim kochanym synkom, jabłuszkom o rumianych policzkach, które, skoro je ludzie kupią, wytaczają się im z kieszeni na powrót do mojego kosza. On trzyma ze starym; on mi onegdaj oblał twarz tym przeklętym auripigmentem<sup>43</sup>, żem o mało nie oślepla, możesz jeszcze zobaczyć oparzelizny, córuchno! Odsuń się od niego, odsuń się! On ciebie nie kocha, bo kocha złotozielonego węża, on nigdy nie będzie radcą dworu, bo on przystał do Salamandrów i chce poślubić złotozielonego węża, odsuń się od niego, odsuń się!

Weronika, która miała właściwie mężne serce i szybko potrafiła opanować strach dziewczęcy, odstąpiła krok w tył i rzekła poważnym, skupionym tonem:

— Moja staruszek! Słyszałam o waszym darze patrzenia w przyszłość i dlatego chciałam, może zbyt ciekawie i przedwcześnie, dowiedzieć się od was, czy Anzelmus, którego kocham i wysoko cenię, będzie kiedykolwiek moim. Jeżeli więc chcecie, zamiast uczynić zadość mojemu życzeniu, drażnić mnie waszym wariackim i niedorzecznym gadaniem, to źle robicie; bo ja chciałam od was tylko tego samego, coście uczynili już innym, o ile wiem. Ponieważ zacie, jak się zdaje, moje najtajniejsze myśli, to może łatwo by wam przyszło odkryć mi coś z tego, co mnie teraz dręczy i niepokoi, ale po waszych niedorzecznych potwarzach<sup>44</sup> rzucanych na dobrego Anzelmusa nic już nie chcę się od was dowiedzieć. Dobranoc!

Weronika chciała wyjść, ale stara upadła z płaczem i jękiem na kolana i zawołała, mocno trzymając dziewczę za suknię:

— Weronisiu, więc ty już nie chcesz znać starej Elżbiety, która cię tak często nosiła na rękę i pielegnowała cię, i pieściła?

Weronika zaledwie że wierzyła własnym oczom, gdyż poznała swoją dawną, tyle tylko że zmienioną przez wiek podeszły, a szczególnie przez oparzelizny, piastunkę, która przed wielu laty zniknęła z domu konrektora Paulmanna. Stara wyglądała też teraz zupełnie inaczej, zamiast owej brzydkiej, pstrej chusty miała poważny czepiec, a zamiast czarnych gałganów — kaftan w wielkie kwiaty, jaki zwykle dawniej nosiła. Wstała z podłogi i mówiła dalej, biorąc Weronikę w objęcia:

— To wszystko, co ci powiedziałam, może ci się wydać wariactwem, ale, niestety, jest prawdą. Anzelmus wiele mi złego narobił, chociaż mimo woli wpadł on w ręce archiwariusza Lindhorsta, a ten chce go ożenić z swoją córką. Archiwariusz jest moim największym wrogiem i mogłabym ci różne rzeczy o nim opowiedzieć, których byś jednak nie zrozumiała lub bardzo się ich przeraziła. To mądry człowiek, ale i ze mnie mądra niewiasta — niechże i tak będzie! No, ale widzę teraz, że Anzelmus jest ci bardzo miły, a ja ci chcę wszystkimi siłami dopomóc, żebyś była szczęśliwą, żebyś należała do niego i weszła do jego małżeńskiego łoża, jak tego sobie życzysz.

— Ależ na miłość Boską, niechże mi Elżbieta powie... — wtrąciła Weronika.

— Sza... dziecko, sza! — przerwała jej stara. — Wiem, co mi chcesz powiedzieć, stałam się tym, czym jestem, ponieważ musiałam się tym stać, nie mogłam inaczej. No więc! Znam środek, który wyleczy Anzelmusa z głupiej miłości do zielonego węża i poprowadzi go w twoje objęcia, jako najmiłszego z radców dworu; ale musisz mi pomóc!

— Powiedzże mi to tylko od razu, Elżbieto! Ja wszystko zrobię; bo ja bardzo kocham Anzelmusa! — wyszeptwała ledwie dosłyszalnie Weronika.

— Znam cię — mówiła dalej stara — jako odważne dziecko, na próżno chciałam cię zmusić do snu strasząc kominiarzem, gdyż właśnie wtedy otwierałaś oczy, aby go zobaczyć, chodziłaś do najodleglejszego pokoju bez świecy i często, włożywszy pudermantel<sup>45</sup> ojca, straszylaś dzieci sąsiada. No więc, jeśli naprawdę chcesz zwyciężyć z pomocą mej sztuki

<sup>43</sup>auripigment — minerał z grupy siarczków. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>potwarz — kłamliwe oskarżenie a. krytyka. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>pudermantel (z niem.) — płaszcz zakładany przy strzyżeniu włosów a. pudrowaniu peruki. [przypis edytorski]

archiwariusza Lindhorsta i zielonego węża, jeśli naprawdę chcesz nazywać Anzelmusa, jako radcę dworu, swoim mężem, to wymknij się z domu ojca w przyszłą noc porównania dnia z nocą o godzinie jedenastej i przyjdź do mnie; pójdę z tobą wtedy na rozstajne drogi, przecinające niedalekie pole, przygotujemy, co potrzeba, a nie powinny cię niepokoić wszystkie dziwy, które tam może zobaczysz. A teraz, córucho, dobranoc, papa już czeka z kolacją.

Weronika wyszła pośpiesznie, postanawiając sobie z całą mocą dobrze pamiętać o aequinoctium, ponieważ — myślała — Elżbieta ma słuszność, Anzelmus zaplątał się w jakieś tajemnicze związki, ale ja wydrę go stamtąd i nazwę go moim na zawsze i na wieki; moim jest i moim pozostanie radca dworu, Anzelmus.

## WIGILIA SZÓSTA

*Ogród archiwariusza Lindhorsta i niektóre drwiące ptaki. — Złoty garnek. — Angielska kursywa. — Podle „kurze łapki”. — Książę-duch.*

— A jednak i to być może — mówił do siebie student Anzelmus — że ta wyborna, mocna żołądkówka, którą wypilem nieco łakomie u *monsieur*<sup>46</sup> Conrادية, wywołała wszystkie te wariackie przywidzenia, które męczyły mnie przed bramą domu archiwariusza Lindhorsta. Dlatego też będę dzisiaj zupełnie trzeźwy i postaram się stawić czoło wszystkim przeciwnościom, które mogą mi stanąć na drodze.

Tak jak wówczas, kiedy przygotowywał się do pierwszych odwiedzin u archiwariusza Lindhorsta, zapakował swoje rysunki piórkowe i artystyczne dzieła kaligraficzne, swoje pałeczki tuszu, swoje świetnie zatemperowane pióra i chciał już wyjść, kiedy wpadła mu w oczy ta flaszeczka z żółtym płynem, którą otrzymał od archiwariusza Lindhorsta. I naraz wszystkie nadzwyczajne przygody, które przeżył, w palących barwach stanęły mu przed oczyma i niepojęte uczucie rozkoszy i bólu ścisnęło mu pierś. Mimo woli wykrzyknął głosem pełnym tęsknoty:

— Ach, czyż ja nie po to tylko idę do archiwariusza, aby ciebie zobaczyć, słodka, najmiłsza Serpentyno?

Zdało mu się w owej chwili, że miłość Serpentyny miała być nagrodą za jakąś mozolną, niebezpieczną pracę, którą on musiał wykonać, a pracą tą miało być właśnie przepisywanie rękopisów Lindhorsta.

Że znowu mogły mu się wydarzyć najrozmaitsze nadzwyczajności przy wejściu do owego domu, a jeszcze prędzej przed domem — w to nie wątpił. Nie myślał już więcej o żołądkówce Conrادية, ale szybko włożył flakonik z żółtą cieczą w kieszonkę kamizelki, aby postąpić ściśle wedle wskazówek archiwariusza, jeżeliby wyrzeżana<sup>47</sup> na kołatce z brązu sprzedawczyni jabłek znowu zaczęła mu się wykrzywiać ze swej zasadzki.

I rzeczywiście, czyż nie podniósł się natychmiast spiczasty nos, czyż nie rozbłysły kocie oczy na kołatce u bramy, skoro chciał ją ująć z uderzeniem dwunastej?

Niewiele myśląc, prysnął żółtym płynem wprost w tę przeklętą twarz, a ona wyglądziła się i rozplaszczyła natychmiast w błyszczącą, okrągłą kołatkę. Brama otworzyła się, dzwony przesłonicznie zadźwięczały na cały dom: — Dźwięki — brzęki — wnijdź<sup>48</sup>, młodzieńki — tobie dźwięki — tobie brzęki.

Pełen otuchy wchodził na piękne, szerokie schody i napawał się osobliwym zapachem kadzidel, unoszącym się w całym domu. W sieni przystanął pełen niepewności: nie wiedział, do których z wielu pięknych drzwi zapukać; ale zjawił się archiwariusz Lindhorst w szerokim, adamaszkowym<sup>49</sup> szlafroku i zawołał:

— Cieszy mnie, panie Anzelmusie, że pan nareszcie dotrzymujesz słowa, pójdź no pan za mną, muszę przecież pana zaprowadzić do laboratorium.

I przeszedłszy szybko przez długą sien, otworzył małe, boczne drzwiczki, prowadzące na korytarz. Anzelmus postępowal za nim pełen najlepszych myśli; tak weszli z korytarza

<sup>46</sup>*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*wyrzezać* (daw.) — wyrzeźbić. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*wnijść* (daw.) — wejść. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*adamaszkowy* — wykonany z adamaszku, tj. wzorzystej tkaniny, której błyszczące części są na rewersie matowe. [przypis edytorski]

do jakiejś sali, a raczej do wspaniałej cieplarni: bo z obydwóch stron wznosiły się aż do powały<sup>50</sup> najróżnorodniejsze, rzadkie, zadziwiające rośliny, ba, nawet wielkie drzewa ze szczególnie ukształtowanymi liśćmi i kwiatami. Magiczne, olśniewające światło rozpylało się wokół, chociaż nie można było zauważyć, skąd wypływało, bo nie widać było nigdzie okna. A kiedy student Anzelmus wpatrywał się w krzaki i drzewa, jakby długie jakieś przejścia rozprzestrzeniały się w dal.

W głębokiej ciemni cyprysowych krzewów lśniły marmurowe cysterny, z których wznosiły się jakieś dziwne figury, rozpryskując kryształowe promienie, padające z pluskaniem w świecące kielichy lilii; nadzwyczajne szelesty, szumy i gwary napępiały ten las zdumiewających roślin, a wspaniałe zapachy przepływały we wszystkich kierunkach. Archiwariusz gdzieś zniknął i Anzelmus ujrzał tylko jakiś olbrzymi krzak płomienistych lilii przed sobą. Odurzony tym widokiem, tymi słodkimi zapachami bajecznego ogrodu, Anzelmus przystanął oczarowany. A wtedy zaczęło coś wszędzie chichotać i śmiać się, a cienkie głosiki przekomarzały się i wydrwiwały:

— Panie student, panie student! Gdzieżeś to pan wlaź? Coś się pan tak ślicznie ubrał, panie Anzelmie? Może byśmy trochę pogadali z sobą, jak to babcia rozgniotła zadkiem jajko, a panicz zrobił plamę na niedzielnej kamizelce? Umiesz pan już na pamięć tę nową arię, której się nauczyłeś od papy Starmatza, panie Anzelmusie? Strasznie śmiesznie pan wyglądasz w tej szklanej peruce i butach ze sztylpami<sup>51</sup> z kartonu!

Tak wołało i chichotało, i drażniło się ze wszystkich kątów, tuż obok studenta, który spostrzegł dopiero teraz, że otoczyły go roje najrozmaitszych barwistych ptaków i wyśmiewały się z niego w najlepsze.

Tymczasem krzak płomienistych lilii podszedł ku niemu — i student zobaczył, że to był archiwariusz Lindhorst i że złudził go tylko jego kwiecisty szlafrok, mieniący się żółtymi i czerwonymi barwami.

— Wybacz pan, drogi panie Anzelmie — powiedział archiwariusz — żem pana zostawił samego, ale przechodząc zajrzałem tylko do mojego pięknego kaktusa, który ma tej nocy zakwitnąć. Ale jakże się panu podoba mój ogródek domowy?

— Ach, Boże! Tu jest tak pięknie, że nie umiem tego wypowiedzieć, najszanowniejszy panie archiwariuszu — odpowiedział student — ale te ładne ptaki zanadto już kpią sobie ze mnie biednego!

— Cóż to za jakaś paplanina? — zawołał z gniewem archiwariusz w gęstwinie krzaków.

Na to wyfrunęła stamtąd ogromna szara papuga, siadła koło archiwariusza na gałęzi mirtu<sup>52</sup> i patrząc nań niezwykle poważnie i uroczyście przez wielkie okulary, tkwiące jej na zakrzywionym dziobie, zaskrzeczała:

— Niech pan się o to nie gniewa, panie archiwariuszu, rzeczywiście, te łobuzy znowu się bardzo rozpuściły, ale pan student sam sobie winien, bo...

— Cicho no, cicho! — przerwał staremu ptakowi archiwariusz. — Ja znam tę szelmę, ale trzeba jej było lepiej pilnować, mój przyjacielu! Idźmy dalej, panie Anzelmie!

Archiwariusz szedł jeszcze przez rozmaite, dziwacznie przybrane pokoje, a student ledwie że mógł za nim nadążyć i choćby okiem rzucić na wszystkie te wspaniałe sprzęty o szczególniejszych kształtach i na różne nieznanne przedmioty, którymi wszystko tam było przepelnione. W końcu weszli do jakiejś wielkiej komnaty, w której archiwariusz przystanął z wrokiem skierowanym w górę, i stąd Anzelmus miał czas się nacieszyć wspaniałym widokiem, jaki przedstawiały proste ozdoby tej sali. Z lazurówoblękitnych ścian występowały złotobrzowe pnie wysokich palm, których olbrzymie liście, lśniące na kształt płomienistych szmaragdów, sklepiły się aż gdzieś pod powałą; w środku komnaty spoczywała na trzech lwach egipskich, ulanych z ciemnego brązu, płyta z porfiru<sup>53</sup>, na której stał zwyczajny złoty garnek — i oto Anzelmus, skoro go raz zobaczył, nie mógł już odeń oczu oderwać. Najrozmaitsze postaci jakby igrały w tysiącu promienistych odbłasków na lśniącym wypolerowanym złocie — chwilami widział siebie samego z tęsknie

<sup>50</sup>*powala* (daw.) — drewniany strop. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*sztylpy* (daw.) — wysokie cholewy doczepiane do buta. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*mirt* — pachnący krzew nie zrzucający liści zimą. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*porfir* — rodzaj skały zawierającej kryształy. [przypis edytorski]

rozpostartymi ramionami — ach, obok bżowego krzaka — Serpentina przewijała się w górę i w dół, patrząc nań swoimi rozkosznymi oczami.

— Serpentino, Serpentino! — krzyknął na cały głos w obląkanym zachwycie, na co archiwariusz odwrócił się szybko i rzekł:

— Czego pan sobie życzy, łaskawy panie Anzelmie? Zdaje się, żeś pan chciał zawołać na moją córkę, ale ona jest w zupełnie innej stronie mojego domu, w swoim pokoju, i ma obecnie lekcję gry na fortepianie; chodź no pan dalej!

Anzelmus poszedł za opuszczającym pokój archiwariuszem prawie że nieprzytomny, nie widział i nie słyszał już nic, aż wreszcie archiwariusz ujął go silnie za rękę i rzekł:

— No, to jesteśmy na miejscu!

Anzelmus obudził się jakby ze snu i zobaczył teraz, że znajduje się w wysokim pokoju, obstawionym dokoła szafami zawierającymi książki i nie różniącym się w niczym od zwyczajnych bibliotek. Pośrodku stał duży stół, a przed nim miękki fotel.

— Oto na teraz pańska pracownia — rzekł archiwariusz Lindhorst. — Czy będziesz pan kiedyś pracował też w tej drugiej, błękitnej bibliotece, w której tak nagle wykrzyknąłeś imię mojej córki, tego jeszcze nie wiem; ale teraz chciałbym się naprzód przekonać, o ile umiejętność pańska odpowie moim wymaganiom i życzeniom dotyczącym pracy, którą zamierzam panu powierzyć.

Student Anzelmus od razu nabrał otuchy i wyciągnął z kieszeni swoje rysunki i pisaniny nie bez pewnego wewnętrznego zadowolenia, w nadziei, że ogromnie ucieszy archiwariusza swoim niezwykłym talentem.

Zaledwie archiwariusz zobaczył pierwszą kartę, rękopis w eleganckim, angielskim stylu, uśmiechnął się bardzo szczególnie i pokiwał głową. Powtarzało się to przy każdej następnej karcie, tak że Anzelmusowi krew napłynęła do głowy, aż wreszcie gdy ten uśmiech stał się bardzo szyderczym i pogardliwym, student wybuchnął w rozpaczliwym podrażnieniu:

— Pan archiwariusz, zdaje się, nie bardzo zadowolony z moich mizernych zdolności?

— Kochany panie Anzelmie — rzekł archiwariusz Lindhorst — pan masz do sztuki kaligraficznej istotnie duże zdolności, ale widzę doskonale, że na razie więcej będę musiał liczyć na pańską pilność i pańską dobrą wolę niż na pańskie wykszolenie. Zresztą, być może, iż to po części wina złych materiałów, którychś pan używał.

Student Anzelmus zaczął szeroko opowiadać o swoim dotychczas uznawanym artyzmie, o chińskim tuszu i wprost wyborowych piórach krucznych.

Na to archiwariusz podał mu angielską kartę i rzekł:

— Osądź pan sam!

Anzelmus był jakby piorunem rażony, tak nędznym wydał mu się jego własny rękopis. Nie było tam ani okrągłości w liniach, ani równości w wierszach, ani odpowiedniego stosunku pomiędzy wielkimi a małymi literami; w dodatku uczniakowskie przykre „kurze łapki” psuły względnie już osiągnięte cele.

— A przy tym — dodał archiwariusz Lindhorst — tusz pański jest nietrwały.

Umoczył palec w szklance napełnionej wodą i skoro tylko leciuchno dotknął nim liter, wszystko znikło natychmiast bez śladu.

Studentowi Anzelmusowi jakby potwór jakiś zacisnął krtań, nie mógł słowa wykrztusić. I stał tak z nieszczęśliwym papierem w ręku, aż archiwariusz Lindhorst roześmiał się głośno i rzekł:

— Nie ma się czym znowu tak okropnie martwić, drogi panie Anzelmie; to, czegoś pan dotychczas nie potrafił dokonać, może tutaj, u mnie, jakoś lepiej się uda; zresztą znajdzie pan tu lepsze przybory od tych, któreś pan zwykle mógł mieć do rozporządzenia. No, zaczynaj pan, tylko bez obawy!

Archiwariusz Lindhorst przyniósł jeszcze jakąś płynną, czarną masę, od której zapachniało szczególniejszą wonią, niezwykle zabarwione, ostro zatemperowane pióra i kartę przedziwnie białości i gładkości, wreszcie zaś rękopis arabski z zamkniętej szafy — i skoro Anzelmus zasiadł do roboty, opuścił pokój.

Student Anzelmus nieraz już przepisywał arabskie pismo, więc owa pierwsza praca nie wydała mu się tak trudna.

— Jak te „kurze łapki” dostały się do mojej pięknej, angielskiej kursywy, o tym wie chyba tylko Pan Bóg i archiwariusz Lindhorst — mówił — ale że one nie pochodzą z *mojej* ręki, za to bym dał sobie głowę uciąć.

Z każdym wyrazem, który udało mu się szczęśliwie nakreślić na pergaminie, nabierał otuchy a zarazem zręczności. I rzeczywiście, owymi piórami pisało się przepysznie, a tajemniczy atrament spływał z jednolitą, kruczą czarnością na olśniewająco biały pergamin.

Kiedy tak pilnie i z natężoną uwagą pracował, robiło mu się w tym samotnym pokoju coraz milej i całkowicie już pogrążył się w robotę, którą miał nadzieję szczęśliwie doprowadzić do końca, kiedy z uderzeniem trzeciej archiwariusz Lindhorst zawołał go do sąsiedniego pokoju na smacznie przyrządzony obiad. Archiwariusz Lindhorst był przy stole w nadzwyczajnym, wyśmienitym humorze; dowiadywał się o przyjaciół Anzelmusa, o konrektora Paulmanna i registratora Heerbranda, i opowiadał o tym ostatnim mnóstwo ucieszonych rzeczy. Doskonale, stare wino reńskie smakowało Anzelmusowi nad wszelki wyraz i czyniło go rozmowniejszym niż kiedykolwiek bądź. Z uderzeniem czwartej powstał, by iść do swojej pracy, i ta punktualność uczyniła, jak się zdaje, na archiwariuszu bardzo dobre wrażenie.

Jeżeli już przed obiadem szczęśliwie powiodło mu się przepisywanie znaków arabskich, to teraz praca poszła mu jeszcze o wiele lepiej, tak że nawet sam nie mógł zrozumieć szybkości i łatwości, z jaką potrafił przemaalowywać kręte linie nieznanego pisma.

Ale było, jakby mu z głębi duszy jakiś głos szeptał wyraźnymi słowy: ach, czyżbyś ty mógł tego dokonać, gdybyś *jej* nie nosił w myślach i sercu twoim, gdybyś nie wierzył w *nią* i w jej miłość?

I przewiały przez pokój niby ciche, cichuteńkie, szeptające, kryształowe dźwięczenia:

— Jestem przy tobie, blisko — bliźiuteńko — pomagam ci — bądź mężny — bądź wytrwały, drogi Anzelmie! — pracuję z tobą razem, abys był moim!

A kiedy się tak w zachwycie bezmiernym wsłuchiwał w owe dźwięki, coraz zrozumialszymi stawały się dlań znaki nieznanne, nie potrzebował już prawie zaglądać do oryginału — znaki te były nawet jakby już blado napisane na pergaminie, trzeba mu było tylko wprawnie pokrywać je czernią. I tak pracował, owiany lubymi, krzepiącymi dźwiękami<sup>54</sup>, niby tchnieniem przesłodkim a pajęczko delikatnym, aż wybiła godzina szósta i wszedł archiwariusz Lindhorst.

Ze szczególnym uśmiechem podszedł do stołu, Anzelmus powstał w milczeniu. Archiwariusz wciąż jeszcze patrzył nań ze swoim jakby szyderym, drwiącym uśmiechem; zaledwie jednak spojrział na przepisywanie, uśmiech zamienił się w głęboką, uroczystą powagę, w której napięły się wszystkie mięśnie<sup>55</sup> twarzy.

Wkrótce nie był to już ten sam człowiek. Oczy, które promieniowały zazwyczaj iskrzącymi płomieniami, patrzyły teraz w Anzelmusa z niewysłowioną tkliwością, leciuchny rumieniec pokrył mu blade lica, znikła ironia, która mu zwykle ściągała usta, i zdało się, że te łagodne, miękkokształtne wargi otwierają się do przemowy pełnej mądrości a idącej wprost w serce. Cała postać stała się wyższą, dostojniejszą, szeroki szlafrok ułożył się, jak płaszcz królewski, w obfite fałdy na piersiach i ramionach, a przez białe kędziory, spływające na wysokie, otwarte czoło, wiła się wąska obręcz złota.

— Młodzieńcze — zaczął archiwariusz uroczyście — młodzieńcze, zanimes jeszcze przeczuł, poznałem już wszystkie te węzły tajemne, które wiążą cię z tym, co mi najdroższe, najświętsze! Serpentyna cię kocha — i dopełnią się osobliwsze losy, których bieg nieubłagany wstrzymują wrogie siły, jeżeli będzie twoją, jeżeli otrzymasz jako posag ten złoty garnek, który jest jej własnością. Lecz tylko z walki wykwitnie szczęście twoje w wyższym życiu. Wrogie żywioły oplątują cię — od hańby i upadku uratować cię może tylko siła wewnętrzna, dzięki której oprzesz się ich pokusom. Pracując tutaj, przebywasz czas nauki; wiara i wiedza niezadługo już doprowadzą cię do celu, jeżeli stać będziesz twardo przy tym, coś musiał zacząć. Wiernym jej bądź całą duszą, jej, która cię kocha, a ujrzysz wtedy wspaniałe cuda złotego garnka i będziesz szczęśliwym na zawsze. Bądź zdrów! Archiwariusz Lindhorst oczekuje cię jutro o dwunastej w swoim gabinecie! Bądź zdrów!

<sup>54</sup>dźwięki — dziś popr. forma N.lm: dźwiękami. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>mięśnie (daw.) — mięśnie. [przypis edytorski]



Archiwariusz łagodnie wypchnął studenta Anzelmusa za drzwi, zamknął je — i młodzieniec znalazł się w pokoju, w którym jadł obiad i z którego jedyne drzwi wiodły do sieni. Zupełnie ogłuszony zdumiewającymi zjawiskami, stanął przed bramą nieruchomo, ale wtem otworzyło się nad nim okno, spojrzął w górę, to był archiwariusz Lindhorst; ten sam, stary, w białawoszarej kurtce, jakim go zwykle widywał, zawołał:

— Ej, drogi panie Anzelmie, o czym pan tak myślisz, o co idzie, arabszczyzna nie chce panu wyjść z głowy? Pozdrówże pan ode mnie konrektora Paulmanna, jeżeli pan zajdziesz do niego, i przyjdź pan znów jutro punktualnie o dwunastej. Honorarium za dzisiejszy dzień jest już w prawej kieszeni pańskiej kamizelki.

Student Anzelmus znalazł rzeczywiście lśniącego talara w oznaczonej kieszeni, ale wcale się z tego nie ucieszył.

— Co z tego wszystkiego będzie, nie wiem — mówił do siebie — ale jeżeli nawet ogarniają mnie tylko jakieś wariackie marzenia i widziadła, toć przecie żyje i porusza się w duszy mej najmilsza Serpentina, a ja bym wołał raczej zginąć marnie i na zawsze, niż ją opuścić, bo wiem przecież, że myśl we mnie jest wieczną i że nie może jej zniszczyć żaden wrogi żywioł; ale jestże owa myśl czym innym niż miłością Serpentyńny?

## WIGILIA SIÓDMA

*Jak konrektor Paulmann wytrząsnął fajkę i położył się spać. — Rembrandt i Brueghel Piekielny. — Zaczarowane zwierciadło i recepta doktora Ecksteina na nieznaną chorobę.*

Nareszcie konrektor Paulmann wytrząsnął fajkę, mówiąc:

— Czas już chyba się położyć.

— O, tak — odpowiedziała Weronika, zaniepokojona dłuższym niż zwykle czuwaniem ojca — dawno już była dziesiąta.

I zaledwie konrektor udał się do swojego gabinetu, który był zarazem jego sypialnią, zaledwie cięższy oddech Frani dowiódł, że i ona mocno zasnęła, Weronika, która także pozornie położyła się spać, po cichutku wstała, ubrała się, narzuciła płaszcz i wyszła z domu.

Od chwili, kiedy Weronika była u starej Elżbiety, bezustannie widziała przed sobą Anzelmusa i sama nie pojmowała, co za obcy głos w niej powtarzał bez przerwy, że źródłem jego niechęci była jakaś jej nieprzyjazna istota, trzymająca go w więzach, które Weronika mogła rozzerwać za pomocą tajemniczych środków sztuki magicznej. Z każdym dniem wzrastało w niej zaufanie do starej Elżbiety, zbladło nawet całe wrażenie czegoś niepokojącego i straszliwego, tak że wszystkie niepojęte, zadziwiające rzeczy w jej stosunku ze starą opromieniały tylko urok nadzwyczajności i romantyczności, co ją tym więcej pociągało. Dlatego też postanowiła nieodwołalnie pójść na awanturniczą wyprawę podczas porównania<sup>56</sup> dnia z nocą, choćby jej miało grozić niebezpieczeństwo, że wszystko to się wyda, że spotka ją tysiące nieprzyjemności.

Aż oto nastąpiła wreszcie fatalna noc *aequinoctium*<sup>57</sup>, w którą stara Elżbieta obiecała udzielić jej swej pomocy i pocieszenia, i Weronika, od dawna już oswojona z myślą o tej nocnej wycieczce, nie czuła w sobie trwogi. Biegła z szybkością strzały przez wyludnione ulice, nie bacząc na burzę, która huczała w powietrzu i ciskała jej w twarz grube krople deszczu. Dzwon na kościele Św. Krzyża głucho wydzwonił jedenastą, kiedy Weronika, przemoczona do nitki, stanęła przed domem starej.

— Aj, przyszłaś już, kochaneczko! Poczekaj no trochę — zawołano z góry i wnet potem przed drzwiami pojawiła się stara z koszem w ręku, w towarzystwie swojego kota.

— No, a teraz trzeba iść i robić wszystko, co tylko jest stosowne i odpowiednie w tę noc, sprzyjającą naszemu dziełu.

To mówiąc, chwyciła zimną dłonią drżącą Weronikę, której dała do dźwigania ciężki kosz, sama zaś niosła kocioł, trójnog i łopatę.

Skoro wyszły za miasto, deszcz już nie padał, ale zawierucha stała się jeszcze gwałtowniejszą; wyło coś w powietrzu tysięcznymi głosami. Straszliwie, rozdzierające jęki płynęły

<sup>56</sup>porównanie — tu: zrównanie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*aequinoctium* (łac.) — zrównanie dnia z nocą. [przypis edytorski]

od czarnych chmur, które kłębiły się w jakiejś wścieklej pogoni i spowijały wszystko w nieprzebitą ciemność. Ale stara szybko szła naprzód, wołając przeraźliwie:

— Świeć no, świeć, mój chłopcze!

Na to zaczęły wic się i krzyżować przed nimi błękitne błyskawice i Weronika poznała, że to kocur skakał przed nimi na wszystkie strony, niecąc trzaskające iskry i oświecając drogę, a skoro tylko burza uciszała się na chwilę, dochodziły jej uszu jego żałośliwe, okropne wrzaski, jakby na trwogę.

Oddech zamierał jej w piersi, jakby lodowate szpony zatapiały się w jej wnętrznościach, ale całą siłą woli opanowała się i przyciskając się mocniej do starej, rzekła:

— Teraz trzeba znieść wszystko i niech się dzieje, co chce!

— Doskonale, moja córuchno — odpowiedziała stara — bądź tylko mężna, to ci dam ładny prezent i w dodatku jeszcze Anzelmusa!

Nareszcie stara stanęła i rzekła:

— No, to jesteśmy na miejscu!

Wykopała w ziemi dołek, nasypała tam węgla i postawiła nad nimi trójnog, na którym umieściła kocioł. Wszystkiemu temu towarzyszyły dziwaczne jej poruszenia, a kocur obiegał ją wkoło. Z ogona jego wytryskały iskry, które wytworzyły obręcz ognistą. Wkrótce węgle zaczęły się żarzyć, aż wreszcie spod trójnoga buchnęły błękitne płomienie. Weronika musiała odłożyć płaszcz i zasłonę i przysiąść obok starej, która chwyciła jej rękę i silnie ścisnęła, patrząc w nią iskrzącymi oczami. A teraz zaczęły się smażyć i skwierczeć, i szumieć wszystkie te przedziwne rzeczy, które stara wyjęła z kosza i wrzuciła do kotła — niepodobna<sup>58</sup> było rozpoznać, czy były to kwiaty, metale, zioła, zwierzęta. Stara puściła Weronikę, chwyciła żelazną łyżkę, którą zanurzyła w tej rozpalonej masie, i mieszała tam coś, podczas gdy Weronika na jej rozkaz musiała się uważnie wpatrywać we wnętrze kotła i skierować swe myśli na Anzelmusa. Potem stara na nowo wrzuciła do kotła lśniące jakieś metale oraz pęk włosów, które Weronika wycięła z czubka głowy, jak również mały pierścionek, jaki ta od dawna nosiła; stara wydawała przy tym niezrozumiałe, straszliwie rozbrzmiewające w czarnej nocy okrzyki, a kot, bezustannie biegając wokoło, miauczał i jęczał przeciągle.

Chciałbym, ażebyś, łaskawy czytelniku, mógł znaleźć się dnia dwudziestego trzeciego września w drodze do Drezna; gdy zapadł późny wieczór, na próżno usiłowano zatrzymać cię na ostatniej stacji; uprzejmy gospodarz przekonywał cię, że przecież zbyt straszna już jest na dworze zawierucha, że deszcz leje jak z cebra i że w ogóle niezbyt bezpiecznie jest wjeżdżać tak prosto w ciemności podczas jesiennego porównania dnia z nocą; aleś ty na to nie zważał, zupełnie słusznie rozumując: dam pocztylionowi<sup>59</sup> całego talara na piwo i będę najpóźniej o pierwszej w Dreźnie, gdzie oczekuje mnie dobra wieczerza i miękkie łóżko albo „Pod Złotym Aniołem”, albo „Pod Hełmem”, albo w Naumburgu.

A kiedy już tak jedziesz w ciemnościach, widzisz nagle w oddali jakieś zadziwiające, migotliwe światło. Przybliżywszy się dostrzegasz obręcz płomienistą, a w jej środku, przy kotle, z którego strzelają kłęby gęstego dymu i czerwone, błyskające iskry i płomienie, siedzą dwie postacie. Droga idzie wprost przez ów ogień, ale konie parszają, biją kopytami o ziemię, stają dęba, pocztylion klnie i modli się, i tnie biczem konie, ile wlezie — nie ruszają się z miejsca.

Mimo woli wyskakujesz z dylizansu i podbiegasz kilka kroków. Widzisz teraz wyraźnie wysmukłą, słodką dziewczę, które kłęczy przy kotle w białym, cienkim stroju nocnym. Burza rozwiała jej sploty, długie, kasztanowobrazowe włosy trzepoczą swobodnie na wietrze. Anielsko piękne oblicze żarzy się całe w olśniewających ogniach jaskrawych płomieni, co wybuchają spod trójnoga, lecz trwoga zalała tę twarz lodowatym strumieniem, ścięła ją w bładość śmiertelną, a w znieruchomiałym wzroku, w brwiach podniesionych do góry, w ustach, które na próżno w strachu śmiertelnym roztwierają się do krzyku, co się nie może wydobyć z przytłoczonej ciężarem bezmiernym piersi, widzisz jej przerażenie okropne, jej zgrozę; splotła kurczowo swe drobne rączęta i podniosła ku niebu, jakby aniołów stróżów wzywała na pomoc, aby ją obronili przed potworami piekiel, co czarem potężnym posłuszne wnet pojawiają się tutaj.

<sup>58</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>pocztylion (daw.) — woźnica pojazdu pocztowego. [przypis edytorski]

I klęczy tak nieruchomo jak marmurowy posąg. Naprzeciw niej przykucnęła na ziemi wysoka, chuda, miedzianożółta kobieta o ostrym, jastrzębim nosie i iskrzących się kocich oczach; z czarnego płaszcza, który narzuciła, wysterczają nagie, kościste ramiona; grzebiąc w piekielnym warze<sup>60</sup>, śmieje się i woła skrzeczącym przeraźliwie głosem poprzez szumiącą i huczącą burzę.

Jestem pewny, łaskawy czytelniku, że choćby obcymi ci były zazwyczaj uczucia trwogi, to na widok tego malowidła Rembrandta czy Brueghela Piekielnego, które teraz ożyło przed tobą, włosy by ci powstały na głowie z przerażenia. Ale nie mogłeś oderwać wzroku od wplątanego w piekielne sprawy dziewczęcia, a prąd elektryczny, który przeniknął wszystkie twe tkanki i nerwy, wzniecił w tobie z błyskawiczną szybkością myśl, by stawić czoło tajemniczemu siłom kręgu płomieni; w myśli tej zaginęło twoje przerażenie — tak — myśl ta wykwitła wprost z tego przerażenia, z tej zgrozy, jako ich plód bezpośredni. Poczuleś się tak, jakbyś sam był jednym z tych aniołów stróżów, do których modliło się śmiertelnie zestrachane dziewczę, jakbyś miał powinność wnet wyciągnąć z kieszeni pistolet i zastrzelić tę starą bez namysłu! Ale, myśląc o tym tak żywo, krzyknałeś głośno: — Hola! — albo: — Co się tu dzieje? — albo: — Co wy tu robicie?!

Pocztylion zadał wrzaskliwie w róg, stara wywinęła kozia wprost w war i wszystko zniknęło naraz w gęstym dymie.

Czy znalazłbyś dziewczę, którego z najszczerzą gorliwością szukałbyś teraz w ciemnościach, trudno mi powiedzieć, ale zniszczyłbyś czarodziejską grę starej, rozerwałbyś więzy magicznego koła, w które dała się wciągnąć lekkomyślnie Weronika.

Jednakże ani ty, łaskawy czytelniku, ani nikt w ogóle nie szedł ani jechał tą drogą dwudziestego trzeciego września, w tę noc burzliwą, sprzyjającą sztukom czarnoksięskim, i Weronika musiała wytrwać przy kotle w śmiertelnej trwodze, aż dzieło dobiegnie końca.

Słyszała doskonale, jak wokoło niej coś wyło i szumiało, jak beczały i klekotały wokoło niej przeróżne wstrętne głosy, jedne przez drugie, ale nie otwierała oczu, bo czuła, że widok tej ohydny, tych okropności, które ją otaczały, mógłby ją wtrącić w nieuleczalne szaleństwo.

Stara przestała mieszać w kotle. Dym stawał się coraz rzadszy, aż wreszcie tylko lekki płomień spirytusowy palił się u spodu kotła. Wtedy zawołała:

— Weroniko, dziecko moje! Złotko moje! Spójrzjy no tu w głąb! Cóż widzisz, cóż widzisz?

Ale Weronika nie była w stanie odpowiedzieć, chociaż zdawało jej się, że w kotle wirują bezładnie najróżniejsze skłębione ze sobą figury; postaci jednak z każdą chwilą stawały się wyraźniejsze, aż naraz z głębin kotła wystąpił, patrząc na nią przyjaźnie i podając jej rękę, student Anzelmus. Krzyknała głośno:

— Ach, Anzelmus! Anzelmus!

Stara otworzyła szybko znajdujący się u kotła kran i rozpalony metal spłynął z trzeszczeniem i syczeniem w małą foremkę, którą podstawiła.

Wtedy zerwała się wiedźma, wrzeszcząc i ciskając się na wszystkie strony w ohydnych, dzikich podskokach.

— Skończone dzieło! Dzięki ci, mój chłopcze! Czuwałeś dzielnie! Hu! hu! — on idzie! Zagryź go! Zagryź go!

Lecz na to zaszumiało coś potężnie w powietrzu, jakby jakiś potwornie wielki orzeł, trzepiąc olbrzymimi skrzydłami, zleciał i krzyknał przeraźliwie:

— Hej, hej! Wy tam, hołota! Skończona rzecz, skończona rzecz! Do domu, precz!

Stara runęła z wyciem na ziemię, a Weronika straciła przytomność.

Kiedy znowu przyszła do siebie, był już biały dzień, leżała na swoim łóżku, a Frania stała przed nią z filiżanką dymiącej herbaty, mówiąc:

— Ależ, powiedzże mi, siostrze, co ci jest! Stoję tu już przed tobą z godzinę czy więcej, a ty leżysz bez przytomności, jakby w febrycznej gorączce i stękasz, i jęczysz, że aż nam straszno się robi. Ojciec nie poszedł z twojego powodu do szkoły i zaraz tu przyjdzie z panem doktorem.

Weronika milcząc wzięła z jej rąk herbatę; skoro ją zaczęła pić, okropne obrazy tej nocy stanęły jej żywo przed oczami.

<sup>60</sup>war — wrzątek, tu: wywar. [przypis edytorski]

Więc może to wszystko było tylko strasznym snem, który mnie dręczył? Ależ ja naprawdę poszłam wczoraj wieczorem do starej, to był przecież dwudziesty trzeci września? Nie, ja raczej wczoraj już byłam bardzo chora i wszystko to mi się tylko przywidziało, a cała choroba powstała u mnie z tego wiecznego myślenia o Anzelmusie i o tej zdumiewającej starej kobiecie, która się podała za Elżbietę i tym chciała mnie zwabić.

Frania wróciła znowu z całkiem przemoczoną płaszczem Weroniki w rękę.

— Patrzaj no, siostró — rzekła — co się stało z twoim płaszczem; burza wyrwała w nocy okno i przewróciła krzesło, na którym płaszcz leżał; pewno napadało deszczu tamtędy, bo płaszcz jest zupełnie mokry.

Weronice jakby kamień upadł na piersi, wiedziała już teraz, że to nie sen ją dręczył, że naprawdę była u starej. Ogarnął ją strach i zgroza, mróz febryczny zatrzęsł nią od góry do dołu. Z kurczowym dreszczem naciągnęła silnie koldrę na siebie; ale wtem poczuła, że piersi jej uciskało coś twardego, a kiedy chwyciła to w rękę, wyczuła coś, jakby medalion; wyjęła to spod koldry, skoro tylko Frania wyszła z płaszczem; było to małe, okrągłe, jasno wypolerowane zwierciadelko.

— Podarunek od starej — zawołała żywo, a ze zwierciadła strzeliły jakby płomieniste promienie, które ją przeniknęły do głębi i ogrzały lubo; febryczne dreszcze ustały, opływała ją nieopisane uczucie błogości i słodkiego spokoju. Musiała myśleć o Anzelmusie, a kiedy skierowywała nań myśli coraz silniej i silniej, uśmiechnął się do niej przyjaźnie ze zwierciadła, niby żywy portrecik w miniaturze. Ale wnet zdało się jej, że już nie widzi tego obrazu — nie! — tylko za to samego studenta Anzelmusa, we własnej osobie. Siedział w wysokim, szczególnie urządzonym pokoju i pilnie pisał. Weronika chciała podejść ku niemu, poklepać go po ramieniu i powiedzieć. — „Panie Anzelmie, obejrzyj się pan, ja tu jestem!” Ale to się zupełnie nie udawało, gdyż otaczał go jakby świecący krąg ognia, lecz Weronika spojrzała uważniej; były to przecież tylko wielkie księgi ze złożonymi brzegami.

Ale wreszcie Weronice udało się spojrzeć Anzelmusowi w oczy: wtedy on — jakby musiał, patrząc na nią, dopiero przypominać ją sobie — lecz w końcu uśmiechnął się i rzekł: — Ach, czy to pani, droga *mademoiselle*<sup>61</sup> Paulmann? Ale czemuż pani chwilami raczy udawać węża?

Weronika wybuchnęła głośnym śmiechem na te szczególne słowa; wskutek tego obudzila się jakby z głębokiego snu i szybko schowała zwierciadelko, a właśnie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł konrektor Paulmann z doktorem Ecksteinem.

Doktor Eckstein podszedł natychmiast do łóżka, długo trzymał w głębokim zamyśleniu puls Weroniki i powiedział:

— Aj! Aj!

Potem napisał receptę, jeszcze raz chwycił za puls, jeszcze raz powtórzył: „Aj! Aj!” — i opuścił pacjentkę.

Ale z tych wynurzeń doktora Ecksteina konrektor Paulmann nie mógł dość wyraźnie wymiarkować<sup>62</sup>, co właściwie dolega Weronice.

## WIGILIA ÓSMA

*Biblioteka drzew palmowych. — Losy nieszczęśliwego Salamandry. — Jak czarne pióro pieściło się z burakiem, a registrator Heerbrand bardzo się upił.*

Student Anzelmus spędził już wiele dni na pracy u archiwariusza Lindhorsta; owe godziny były dlań najszczęśliwszymi w życiu, bo zawsze opływały go słodkie dźwięki pokrępiających słów Serpenty, bo nawet nieraz ocierały się cicho o niego leciuchne jakieś tchnienia i przenikała go wtedy nigdy nie doświadczana błogość, która często wzrastała do najwyższej rozkoszy i zachwytu. Zapominał zupełnie o wszystkich nędzach i wszystkich drobnych troskach swojego ciężkiego życia i w nowym istnieniu, które się przed nim otwarło, jakby w olśniewającym blasku słońca, poznawał wszelkie cuda tego wyższego świata, które napępiały go dawniej zdumieniem a nawet zgrozą. Przepisywanie szło mu bardzo szybko, ponieważ zdawało mu się coraz częściej, że kreśli na pergaminie tylko od

<sup>61</sup>*mademoiselle* (fr.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*wymiarkować* (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

dawna już znane znaki, że zaledwie potrzebuje zaglądnąć do oryginału, aby przemaalowywać wszystko z jak największą dokładnością.

Archiwariusz Lindhorst rzadko kiedy ukazywał się poza godziną obiadową, ale za każdym razem pojawiał się dokładnie w tej chwili, w której Anzelmus ukończył ostatnie znaki jakiego rękopisu, i dawał mu inny, ale wnet wychodził w milczeniu, zamieszawszy tylko atrament jakąś czarną pałeczką i zamieniwszy zużyte pióra na nowe, ostrzej zatemperowane.

Pewnego dnia, kiedy student Anzelmus wszedł z uderzeniem dwunastej na schody, zastał drzwi, którymi zwykle wchodził, zamknięte, a archiwariusz Lindhorst zjawił się w innej stronie, w swoim zadziwiającym, jakby usianym lśniącymi kwiatami szlafroku.

Zawołał głośno:

— Wejść no pan dzisiaj tędy, drogi Anzelmie, bo tam czekają na nas mistrzowie Bhogovotgity<sup>63</sup>.

Wszedł na korytarz i prowadził za sobą Anzelmusa przez te same komnaty i sale, co za pierwszym razem. Studenta Anzelmusa na widok czarujących wspaniałości ogrodu na nowo ogarnęło zdumienie, ale teraz dostrzegł wyraźnie, że niektóre zadziwiające kwiaty, zwisające z ciemnych krzaków, były to właściwie lśniące przepychem barw owady, co trzepotały skrzydełkami, wznosiły się w górę, zlatywały na dół, skakały, wirowały, kłębiły się bezładnie, jakby pieszcząc się, igrając z sobą. A znowu te różowe i jak niebo błękitne ptaki były w istocie kwiatami pachnącymi, a zapach, jaki rozsiewały dokoła, wykwiwał z ich kielichów w cichych, słodkich dźwięczeniach, co zlewały się razem z pluskaniem źródeł dalekich, z szelestem wyniosłych krzewów i drzew w tajemnicze akordy, w skargi głębokiej tęsknoty. Drwiące ptaki, które go za pierwszym razem tak drażniły i wykpiwały, zawirowały mu znowu nad głową, bezustannie krzycząc swoimi cienkimi głosikami:

— Panie student, panie student! Nie spiesz się pan tak, nie gap się pan tak w chmury, jeszcze pan na nos upadniesz! He, he! Panie student! Włóż no pan pudermantel<sup>64</sup>, kum puchacz ufryzuje panu perukę.

I takie różne głupstwa brzęczały Anzelmusowi koło uszu, póki nie wyszedł z ogrodu.

Nareszcie archiwariusz Lindhorst wszedł do lazurkowego pokoju. Płyta porfirowa ze złotym garnkiem gdzieś znikła, a na jej miejscu, na środku pokoju, stał pokryty fioletowym aksamitem stół, na którym znajdowały się znane Anzelmusowi przybory do pisania, obok zaś stało krzesło z poręczami, pokryte taką samą materią.

— Kochany panie Anzelmie — rzekł archiwariusz Lindhorst — przepisałeś już pan nieco rękopisów szybko i dokładnie, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu; pozyskałeś pan sobie moje zaufanie; ale pozostaje jeszcze do zrobienia rzecz najważniejsza, mianowicie przepisanie, a raczej przemaalowanie pewnych dzieł, pisanych szczególniejszymi znakami, dzieł, które przechowuję w tym pokoju i które można przepisywać tylko tu na miejscu. Na przyszłość będziesz pan zatem pracował tutaj, ale muszę panu zalecić jak największą ostrożność i uwagę; jedna fałszywa kreska albo też, uchowaj Boże, jedna plama atramentu prysnięta na oryginał pogrąży pana w nieszczęście.

Anzelmus zauważył, że ze złotych pni palm wyrastały małe szmaragdowe liście; archiwariusz chwycił jeden z tych liści i Anzelmus dostrzegł, że liść był właściwie rulonem pergaminu, który archiwariusz rozwinął i rozłożył na stole.

Anzelmus niemało się zadziwił na widok tych dziwnie poplątanych znaków, a wpatrując się w te wszystkie punkciki, kreski, przecinki i zakrętasy, które zdawały się wyobrażać jakieś rośliny, mchy, to znów postaci zwierząt,omalże nie upadł na duchu. Czy potrafił to wszystko tak dokładnie przemaalować? Zamyślił się nad tym głęboko.

— Odwagi, młodzieńcze! — zawołał archiwariusz — jeśli masz szczerą wiarę i prawdziwą miłość, to pomoże ci Serpentyń!

Głos jego brzmiał jak dźwięczący metal, a kiedy Anzelmus spojrział w nagłej trwodze, archiwariusz Lindhorst stał przed nim w królewskiej postaci, tak jak się mu zjawił przy pierwszych odwiedzinach w pokoju, gdzie była biblioteka. Anzelmus uczył, że chyba osunie się na kolana, wciąż przeniknięty, ale tu archiwariusz Lindhorst wznosił się w górę po pniu jednej z palm i zniknął wśród szmaragdowych liści.

<sup>63</sup>*Bhogovotgita* a. *Bhagavatgita* — indyjski traktat filozoficzny, tekst święty hinduizmu. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*pudermantel* (z niem.) — płaszcz zakładany przy strzyżeniu włosów a. pudrowaniu peruki. [przypis edytorski]

Student Anzelmus zrozumiał, że książę-*duch* z nim mówił i że wszedł teraz na górę, do swojej pracowni, aby może wprzód<sup>65</sup> jeszcze zapytać promieni-*gońców*, wysłanych doń przez niektóre planety, o dalsze losy jego i słodkiej *Serpenty*ny.

Albo też może — myślał dalej — oczekują go wieści ze źródeł Nilu, albo odwiedza go jaki mag z Laponii, mnie zaś trzeba teraz ostro się zabrać do pracy.

I z tymi słowy<sup>66</sup> zaczął badać nieznanne znaki pergaminu.

Cudowna muzyka ogrodu przenikała ku niemu i otaczała go słodkimi, rozkosznymi zapachami, słyszał wprawdzie także chichotanie drwiących ptaków, ale nie rozumiał ich słów, co mu było bardzo na rękę. Chwilami było tak, jakby liście drzew palmowych szeleściły i jakby promieniowały wtedy przez pokój w te czarowne dźwięki kryształu, które Anzelmus słyszał w ów pamiętny dzień *Wniebowstąpienia* pod bżowym krzakiem. Przedziwnie pokrzepiony przez te dźwięki i światła, Anzelmus coraz silniej skierowywał swe myśli i czucia na tytuł zwiniętego w rulon pergaminu i wkrótce jakby w głębi duszy uczuł, że znaki te mogły oznaczać tylko te, a nie inne słowa: „O zaślubinach *Salamandra* z zielonym wężem”.

Tu zabrzmiał silny, trójdźwięczny akord jasnych dzwonów z kryształu.

— Anzelmusie, drogi Anzelmusie — przewiało ku niemu spośród liści — i o чудо! — po pniu palmowego drzewa ześlizgiwał się zielony wąż.

— *Serpenty*no! Najmilsza *Serpenty*no! — krzyknął Anzelmus, jakby w obłąkaniu najwyższego zachwytu: bo kiedy uważniej się wpatrzył, było to przecież przecudne, czarujące dziewczę, które sphywało ku niemu, spoglądając nań z niewysłowioną tęsknotą ciemnobłękitnymi oczami, tymi samymi oczami, co żyły w nim, w głębi duszy. Liście zdawały się opuszczać i rozpościerać, wszędzie sterczały z pni kolce, ale *Serpenty*na zręcznie przemykała się, przewijała przez nie, cisnąc ku sobie swoją migotliwą, jakby lśniąca mieniącymi się barwami szatę, tak że ta, przyłgnąwszy do wysmukłego ciała, nie zaczęła o wystające kolce i ciernie drzew palmowych.

Siadła obok Anzelmusa na tym samym krześle, obejmując go ramionami i przyciągając ku sobie, tak że czuł tchnienie płynące z jej ust i elektryczne ciepło jej ciała.

— Drogi Anzelmusie — zaczęła *Serpenty*na — jesteś już teraz zupełnie moim, zdobyłeś mnie przez twoją wiarę, przez twoją miłość; a ja ci ofiaruję ów złoty garnek, który nas uszczęśliwi na wieki.

— O ty przesłodka, najmilsza *Serpenty*no! — rzekł Anzelmus — jeżeli posiadam ciebie, to cóż mnie obchodzi wszystko poza tym? Skoro żeś tylko moją, to zatopiłbym się najchętniej w tych wszystkich dziwach i czarach, które mną zawładnęły od chwili, kiedym cię ujrzał.

— Wiem doskonale — mówiła dalej *Serpenty*na — że wszystkie te niepojęte i cudowne rzeczy, którymi ojciec mój otaczał cię, nieraz tylko dla własnej zabawy, wzbudzały w tobie zgrozę i przerażenie, ale teraz już, jak myślę, tego chyba nie będzie; bo ja tu jestem w tej chwili tylko po to, aby ci opowiedzieć, mój drogi Anzelmusie, z głębi serca, z głębi duszy wszystko, wszystko, aż do najzupełniejszych drobiazgów, co tylko powinie-*neś* wiedzieć, ażebyś całkowicie poznał mego ojca i w ogóle jak najdokładniej zrozumiał wszystko, co dotyczy jego i mnie.

Anzelmus czuł się tak, jakby go ta wdzięczna, słodka postać objęła i otuliła sobą tak całkowicie, że tylko z nią razem mógł się poruszać, tylko jej puls i rytmy drżały w jego tkankach, w jego nerwach; wsłuchiwał się w każde jej słowo, co dźwięczało mu aż gdzieś w głębi duszy i jak promień świetlisty wniecało błogość niebiańską. Otoczył ramieniem jej smukłe, bardziej niż smukłe ciało, ale mieniąca się, lśniąca materia jej szaty była tak gładka, tak śliska, że zdało mu się, iż ona może, wyrwawszy mu się szybko, wysliznąć się niepowstrzymanie — i zadrzał na tę myśl.

— Ach, nie opuszczaj mnie, słodka *Serpenty*no! — zawołał mimo woli — tyś tylko życiem moim!

— Dziś nie uczynię tego — rzekła *Serpenty*na — póki ci nie opowiem wszystkiego, co w twojej miłości ku mnie zdołasz zrozumieć. A więc dowiedz się, ukochany, że mój ojciec pochodzi z dziwnego rodu *Salamandrów* i że ja zawdzięczam swe istnie-

<sup>65</sup>wprzód (daw.) — wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>słowy — dziś popr. forma N.lm: słowami. [przypis edytorski]

nie jego miłości do zielonego węża. Kiedyś, w praczasach królował w cudownej krainie, Atlantydzie, potężny książę-duch, Fosforus, któremu służyły duchy pierwotne. Pewnego razu Salamander, którego lubił nad wszystkie inne (to był mój ojciec), przechodził przez wspaniały ogród, przepięknie przystrojony najpiękniejszymi darami matki Fosforusa, i słyszał, jak wysoka lilia śpiewała tak cichymi dźwiękami: „Przymknij mocno oczęta, zanim cię zbudzi wiatr ranny, ukochany mój”. Zbliżył się; owiana jego palącym tchnieniem lilia roztworzyła swe liście, a wtedy zobaczył córkę lilii, zielonego węża, co spała w jej kielichu. I oto ogarnęła Salamandra gorąca miłość do pięknego węża i porwał ją lilii, której zapachy na próżno wołały po całym ogrodzie, w niewymownych skargach, za ukochaną córką. Albowiem Salamander zaniósł ją do zamku Fosforusa i prosił go: „Daj mi zaślubić ukochaną, niechaj moją będzie na wieki”.

„Niebaczny, czego żadasz! — rzekł książę-duch — wiedz, że lilia była ongi moją i panowała ze mną: ale iskra, którą w nią tchnąłem, groziła jej zgubą i tylko zwycięstwo nad czarnym smokiem, którego teraz duchy ziemi trzymają związanego w łańcuchach, ocaliło lilię, dało jej liściom moc zamknięcia w sobie tej iskry i przechowania jej. Ale skoro obejmiesz zielonego węża, żar twój przepali jej ciało i nowa istota, szybko poczęta, uleci od ciebie”.

Salamander nie zważał na przestrogę księcia; pełen palącego pożądania chwycił zielonego węża w ramiona, kochanka rozpadła się w popiół, a skrzydlata istota z popiołu tego zrodzona zaszumiała przez powietrze, uleciała. Wtedy ogarnęło Salamandra szaleństwo rozpacz — i popędził przez ogród, ciskając ogień i płomienie, i niszczył go w dzikiej wściekłości, że najpiękniejsze rośliny i kwiaty upadły przepalone, a jęk ich nappełnił przestrzenie.

Straszliwie zagniewany książę-duch chwycił w zapalcząwość swojej Salamandra i rzekł: „Wyszała twój ogień, zagasły twoje płomienie, zbladły twoje promienie, zstępuj do duchów ziemi, niechaj drwią z ciebie i szydzą, i trzymają w niewoli, póki nie rozpali się znowu materia ognista i nie wypromieniuje z ziemi z tobą razem, jako z nową istotą”.

Nieszczęsny Salamander zapadł się, zgasł, ale na to podszedł stary, mrukliwy duch ziemi, który był ogrodnikiem Fosforusa, i rzekł: „Panie! — któż by mógł bardziej skarżyć się na Salamandra niż ja? Czyż nie przystroiłem moimi najpiękniejszymi metalami wszystkich tych pięknych kwiatów, które on spalił? Czyż nie chroniłem, nie pielęgnowałem dzielnie ich załączków, czy nie roztrwonilem na nie niejednej pięknej barwy? A jednak ujmuję się za biednym Salamandrem, którego tylko miłość (ty sam, o panie, często jej ulegałeś) doprowadziła do niszczycielskiej rozpacz. Złagodź mu zbyt ciężką karę!”

„Ogień jego na teraz zagasnął — rzekł książę-duch. — Rozpali się w nieszczęśliwym czasie, kiedy mowa przyrody nie będzie już zrozumiała dla zwyrodniałego rodzaju ludzkiego, kiedy duchy pierwotne, wygnane w odległe krainy, tylko z dali najdalszej głuchymi dźwiękami przemawiać będą do ludzi, kiedy wytrąconemu z kręgu harmonii tylko tęsknota bezmierna przypominać będzie o pełnym cudów królestwie, w którym ongiś przebywał, gdy jeszcze wiara i miłość mieszkaly w jego sercu — w tym nieszczęśliwym czasie na nowo rozpali się materia ognista Salamandra, ale w poczęciu swoim stanie się on tylko człowiekiem i będzie musiał pogрузić się zupełnie w nędzę życia, zność jego udręki. Ale ma być mu zachowaną nie tylko pamięć o jego pierwotnym pochodzeniu; ożyje on także w świętej harmonii z całą przyrodą, rozumieć będzie jej cuda, a moc bratnich duchów będzie mu podległa. Odnajdzie wtedy znowu w liliowym krzewie zielonego węża, a owocem jego zaślubin z nią będą trzy córki, które ludziom pojawią się w postaci matki. Na wiosnę zawisną one na ciemnym krzaku bzu i dźwięczeć będą swoimi luby-mi, kryształowymi głosami. Jeżeli znajdzie się wtedy, w owym żalonym, nędznym czasie zatwardziałej nieczułości dusz, młodzieniec, który ich śpiew zrozumie — i nie dość — jeżeli jeden z wężyków spojrzy nań swymi wdzięcznymi oczami, jeżeli spojrzenie to wznieci w młodzieńcu przecucie dalekiej, cudownej krainy, ku której mógłby się wznieść odwagi pełen, gdyby zrzucił z siebie brzemię prostackiej powszedniości, jeżeli wraz z miłością do węża zrodzi się w nim żywa gorąca wiara w cuda przyrody i zarazem we własne swoje istnienie wśród tych cudów — to wąż będzie jego. Ale nie pierwej, aż znajdzie się trzech takich młodzieńców, którzy poślubią trzy córki, będzie mógł Salamander odrzucić swe ciężkie brzemię i wrócić do braci swoich”.

Współczucie

„Pozwól, o panie — rzekł duch ziemi — że ofiaruję każdej z tych trzech córek dar, który uświetni życie z przeznaczonym mężem. Każda otrzyma ode mnie garnek z najpiękniejszego metalu, jaki posiadam; wypoleruję go promieniami, które wezmę diamentom; całe nasze państwo pełne cudów, tak jak istnieje ono teraz, w harmonii z całą przyrodą, odbijając się ma przepychem olśniewających blasków w zwierciadle jego błyszczącej powierzchni; a w chwili zaślubin wykwitnie z jego wnętrza lilia płomienista, której wiecznotrwały kwiat słodkimi zapachami otoczy wybranego młodzieńca. Wnet wtedy zrozumie on mowę tego kwiatu i cuda naszego świata, i sam zamieszka z ukochaną w Atlantydzie”.

— Wiem już teraz bardzo dobrze, drogi Anzelmusie, że ojciec mój jest właśnie tym Salamandrem, o którym ci opowiedziałam. Musiał on, pomimo wyższości swej natury, poddać się najdrobniejszym troskom powszedniego życia i stąd może pochodzi jego zgryźliwy nieraz humor, jakim obdarza niektórych. Często powtarzał mi, że na określenie właściwości duchowych, jakich książę-duch Fosforus wymagał, stawiając to jako warunek poślubienia mnie i moich siostr, istnieje teraz wyrażenie, jednak zbyt często nadużywane w nieprzyzwoity sposób, nazywa się to mianowicie duszą dziecięcą i poetyczną. Dusze takie znaleźć można nieraz u młodzieńców, których pospólstwo wyśmiewa za prostotę ich obyczajów i za to, że brak im zupełnie tak zwanej ogłady światowej. Ach, drogi Anzelmusie, tyś przecie zrozumiał pod bżowym krzakiem mój śpiew, moje spojrzenie. Ty kochasz zielonego węża. Ty wierzysz we mnie i chcesz być moim na wieki! Piękna lilia wykwitnie ze złotego garnka i będziemy, połączeni, żyli razem szczęśliwie i błogo w Atlantydzie.

— Ale nie mogę przed tobą ukrywać, że we wstrętnej walce Salamandrów z duchami ziemi, czarny smok wyrwał się i z chrzęstem umknął w powietrzne przestwory. Wprawdzie Fosforus znowu trzyma go w więzach, ale z jego czarnych piór, które posypały się podczas walki na ziemię, zrodziły się wrogie duchy, te wszędzie stają przeciw Salamandrom i duchom ziemi. Owa kobieta, która ci jest tak nieprzyjazną i która, jak to ojciec mój wie doskonale, dąży do zawładnięcia złotym garnkiem, zawdzięcza swe istnienie miłości jednego takiego pióra, co wyleciało ze skrzydła smoka, do jakiegoś buraka. Zna ona swe pochodzenie i swą siłę: albowiem z jęków i drgawek pojmanego smoka przeniknęła tajemnicę niektórych czarodziejskich konstelacji i używa wszelkich środków, aby działać z zewnątrz na duszę, podczas gdy mój ojciec zwalczą ją piorunami, strzelającymi z Salamandrowego wnętrza. Ona zbiera wszystkie złe pierwiastki, mieszkające w szkodliwych ziołach i trujących zwierzętach, mieszając je przy sprzyjających konstelacjach wytwarza pewne złośliwe zmary, które napęniają duszę człowieka zgrozą i przerażeniem i oddają go w moc demonów, przez zwyciężonego w walce smoka spłodzonych. Strzeż się tej starej, drogi Anzelmusie, ona jest twoim wrogiem, bo twoja dziecięco niewinna dusza zniweczyła już niejednego z jej złych czarów. Wiernym bądź miłości twej — wnet już osiągniesz cel!

— O moja, moja Serpentyno! — zawołał student Anzelmus — jakżeby mógł cię opuścić, jakżeby mógł cię nie kochać wiecznie!

Pocałunek zapłonął na jego ustach, obudził się jakby z głębokiego snu, Serpentyna znikła, wybiła szóstą; uczył ciężki wyrzut, że nie przepisał ani odrobiny, z niepokojem, co też na to powie archiwariusz, spojrzął na swoją kartkę i o dziwo! — przepisywanie tajemniczego rękopisu było pomyślnie doprowadzone aż do końca, a uważniej wpatrując się w znaki zrozumiał, że przepisał opowieść Serpentyny o jej ojcu, ulubieńcu księcia-ducha Fosforusa w cudownej krainie Atlantydzie.

Teraz wszedł archiwariusz Lindhorst w swoim białawoszarym płaszczu, w kapeluszu na głowie, z laską w rękę; spojrzął na zapisany przez Anzelmusa pergamin, zażył potężny niuch tabaki i rzekł z uśmiechem:

— Tegom się też spodziewał! No! Oto jest bity talar, panie Anzelmie, pójdziemy sobie teraz jeszcze do Linka, proszę za mną!

Archiwariusz przeszedł szybko przez ogród, w którym panował taki wściekły hałas, takie śpiewania, gwizdania i gadaniny, że student Anzelmus był zupełnie ogłuszony i dziękował Bogu, skoro się znalazł na ulicy.

Zaledwie uszli kilka kroków, spotkali registratora Heerbranda, który chętnie się do nich przyłączył. Przed bramą nabili fajki; registrator Heerbrand narzekał, że nie ma przy sobie krzesiwa, a na to archiwariusz Lindhorst zawołał z oburzeniem:

— Co tam krzesiwo! Masz pan tu ognia, ile zechcesz!



To mówiąc, przytknął palcami, z których wytrysnęły wielkie iskry i szybko rozpalily fajki.

— Patrz no pan, co to za chemiczny kawał — rzekł registrator Heerbrand, ale student Anzelmus nie bez wewnętrznego drżenia pomyślał o Salamandrze.

U Linka registrator Heerbrand wypił tyle mocnego dubeltowego piwa, że zaczął — on, zwykle taki łagodny, cichy człowiek — śpiewać rozwlekłym tenorem burszowskie<sup>67</sup> pieśni, pytał gorączkowo każdego, czy jest jego przyjacielem, czy nie, aż wreszcie student Anzelmus musiał go zanieść do domu, gdyż archiwariusz Lindhorst od dawna już gdzieś zniknął.

## WIGILIA DZIEWIĄTA

*Jak student Anzelmus cokolwiek przyszedł do rozumu. — Towarzystwo przy ponczu. — Jak student Anzelmus wziął konrektora Paulmanna za puchacza, a ten się bardzo o to rozżościł. — Kleks i jego skutki*

Wszystkie te dziwy i cudowności, które codziennie otaczały studenta Anzelmusa, odsunęły go zupełnie od zwyczajnego życia. Nie widywał żadnego ze swoich przyjaciół i niecierpliwie wyczekiwał co rano godziny dwunastej, roztwierającej<sup>68</sup> mu jego raj. A jednak, choć całą duszą lgnął do lubej Serpentyńy i cudów czarodziejskiej krainy u archiwariusza Lindhorsta, musiał chwilami myśleć o Weronice, a nawet zdawało mu się czasem, że przychodzi ona do niego i wyznaje, zarumieniona, jak serdecznie go kocha i jak stara się wydrzeć go widziadłom, które go tylko dręczą i ośmieszają. Chwilami bywało tak, jakby waliła się nań nagle jakaś obca siła i parla go niepowstrzymanie ku zapomnianej Weronice, jak gdyby musiał iść za nią, gdzie by tylko zechciała, niby łańcuchami przykutą do tej dziewczyny.

Otóż w noc potem właśnie, kiedy po raz pierwszy ujrzał Serpentyńę w postaci czarownego dziewczęcia i poznał cudowną tajemnicę zaślubin Salamandra z zielonym wężem, Weronika stanęła mu przed oczyma żywiej niż kiedykolwiek. Tak! — nawet dopiero kiedy się obudził, uprzytomnił sobie wyraźnie, że to mu się tylko śniło, bo przekonany był, że Weronika rzeczywiście jest u niego i skarży się z wyrazem rozdzierającego bólu, co go do głębi przenikał, że on poświęca jej szczerą miłość dla fantastycznych widziadeł, które powodują tylko jego rozterkę wewnętrzną i mogą przecież wtrącić go w nieszczęście i zgubić. Weronika była powabniejszą, miłszą niż kiedykolwiek; próżne czynił wysiłki, by o niej zapomnieć, i stan ten sprawiał mu mękę, od której miał nadzieję uwolnić się na rannej przechadzce. Jakaś tajemna, magiczna siła ciągnęła go do Bramy Pirnańskiej i właśnie miał zamiar skręcić w boczną ulicę, kiedy konrektor Paulmann, idący za nim, zawołał głośno:

— Aj, aj! Najszanowniejszy panie Anzelmie! *Amice! Amice!*<sup>69</sup> Gdzież się pan podziewasz, u Boga Ojca? Wcale się pan nie pokazujesz, może pan nie wiesz, że Weronika formalnie tęskni za tym, żeby znowu co z panem zaśpiewać? No, chodź pan teraz, przecież pan szedł do nas!

Student Anzelmus, rad nierad, poszedł z konrektorem.

Kiedy wchodzili do domu, Weronika wyszła ku nim bardzo ładnie i starannie ubrana, tak że konrektor Paulmann zapytał, pełen zdziwienia:

— Cóż to, czemuś tak wystrojona, czyż spodziewałaś się gości? Otóż właśnie prowadzę pana Anzelmusa!

Całując grzecznie i dwornie rękę Weroniki, student Anzelmus uczył leciuchny uścisk, który płomieniem przeniknął mu całe ciało.

Weronika była wprost samą wesołością, samym wdziękiem i skoro Paulmann wyszedł do swego gabinetu, potrafiła tak dalece rozruszać Anzelmusa przez wszelakie przekomarzenia się i filuterne<sup>70</sup> dowcipy, że zapomniał zupełnie o swojej nieśmiałości i w końcu uganiał się po całym pokoju za swawolną dziewczyną. Ale tu znowu zwałił mu się na kark

<sup>67</sup>burszowski — charakterystyczny dla korporacji studenckich. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>roztwierać — dziś popr.: otwierać. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Amice! Amice! (łac.) — przyjacielu! przyjacielu! [przypis edytorski]

<sup>70</sup>filuterny (daw.) — figlarny, prowokujący. [przypis edytorski]

demon niezręczności, młodzieniec zawadził o stół i ładna szkatułka Weroniki upadła na ziemię. Anzelmus podniósł ją, wieczko odskoczyło, błysnęło mu małe, metalowe zwierciadło, w które spojrzął z jakąś całkiem szczególną ochotą. Weronika chyłkiem z tyłu podeszła ku niemu, położyła mu rękę na ramieniu i tuląc się doń mocno, również patrzyła mu przez ramię w zwierciadło. Anzelmus uczuł, że jakaś walka poczyna mu się w duszy: myśli, obrazy wyblyskiwały i znikwały znowu — archiwariusz Lindhorst, Serpentina, zielony wąż — wreszcie uspokoiło się wszystko, cały ten zamęt przetworzył się w jasną świadomość. Zrozumiał wyraźnie, że ustawicznie myślał tylko o Weronice, że przecież owa postać, która zjawiła mu się wczoraj w niebieskim pokoju, to była również Weronika i że tę baśń fantastyczną o zaślubinach Salamandra i zielonym wężem on przecież tylko napisał, ale wszak mu jej nie opowiedziano. Sam dziwił się swoim marzeniom i kładł je wyłącznie na karb podniecenia wewnętrznego wywołanego miłością Weroniki, jak również na karb pracy u archiwariusza Lindhorsta, w którego pokoju w dodatku jeszcze pachniało tak dziwnie odurzająco. Uśmieł się serdecznie z tego wariackiego przywidzenia, żeby być zakochanym w jakimś małym wężu i brać dobrze uposażonego tajnego archiwariusza za Salamandra.

— Tak, tak! to Weronika! — zawołał głośno, ale odwracając głowę spojrzął prosto w niebieskie oczy Weroniki, z których promieniowała miłość i tęsknota. Głuche „ach!” wybiegło jej na usta, które w tej samej chwili zapłonęły na jego wargach.

— O, szczęście moje! — westchnął student w zachwycie — o czym wczoraj tylko marzyłem, to spełnia się już dzisiaj.

— I zechcesz naprawdę ożenić się ze mną, skoro zostaniesz radcą dworu? — zapytała Weronika.

— Ależ tak! — odpowiedział student Anzelmus; a właśnie drzwi zaskrzypiały i konrektor Paulmann wszedł mówiąc:

— No, drogi panie Anzelmie, nie puszczę już pana dzisiaj, nie pogardzisz obiadem u mnie, a potem Weronika przyrządzi nam pyszną kawę i wypijemy ją sobie z registratorzem Heerbrandem, który także obiecał przyjść.

— Ach, drogi panie konrektorze — odparł student Anzelmus — czyż pan nie wie, że muszę iść do archiwariusza Lindhorsta z powodu tego przepisywania?

— *Amice!* Patrz no pan! — rzekł konrektor Paulmann, wyciągając zegarek kieszonkowy, który wskazywał wpół do pierwszej.

Student Anzelmus zobaczył teraz, że o wiele za późno byłoby wędrować do archiwariusza Lindhorsta i tym chętniej zgodził się z życzeniami konrektora, że przyświecała mu nadzieja patrzenia na Weronikę przez cały dzień, może też spodziewał się otrzymać jakieś ukradkowe spojrzenie, jakiś tkliwy uścisk dłoni albo nawet zdobyć całusa.

Tak wysoko sięgały teraz zamiary studenta Anzelmusa i robiło mu się coraz milej na sercu, w miarę jak przekonywał się, że wnet uwolni się już zupełnie od fantastycznych urojeń, które mogły zeń istotnie uczynić zupełnie obłąkanego głupca.

Registrator Heerbrand zjawił się rzeczywiście po obiedzie, kiedy wypił kawę, a mrok zapadł, dał do zrozumienia, uśmiechając się chytrze i wesoło zacierając ręce, że ma przy sobie coś, co zmieszane i doprowadzone do właściwego stanu przez piękne rączki Weroniki, porządnie zrubrykowane i ustawione, gdzie trzeba, może im wszystkim uprzyjemnić chłodny wieczór październikowy.

— No, to prosimy na stół z tymi tajemniczymi rzeczami, które pan nosi ze sobą, zacny panie registratorze! — zawołał konrektor Paulmann; pan registrator sięgnął do głębokiej kieszeni swojej zarzutki i trzema nawrotami wydobył stamtąd flaszkę araku<sup>71</sup>, cytryny i cukier. Zaledwie pół godziny upłynęło, a już wspaniały poncz dymił na stole Paulmanna. Weronika ponalewała wszystkim, przyrządziła, i przyjaciele rozpoczęli bardzo miłą, wesołą pogawędkę.

Ale kiedy studentowi Anzelmusowi mocny trunk uderzył do głowy, powróciły mu znowu wszystkie obrazy tych cudów i dziwów, które niedawno przeżywał. Ujrzał archiwariusza Lindhorsta w jego adamaszkowym szlafroku, błyszczącym fosforycznie; ujrzał lazurówoblękitny pokój, złote drzewa palmowe, a wreszcie znowu poczuł, że musi jednak wierzyć w Serpentinę; szumiało w nim, wrzało w nim wszystko.

<sup>71</sup>arak — rodzaj aromatycznego alkoholu. [przypis edytorski]

Weronika podała mu szklankę ponczu; biorąc ją, dotknął z lekka jej ręki.

— Serpentyń! Weronika! — westchnął do siebie z cicha. Zapadł w głębokie rozmarzenie, ale registrarator Heerbrand zawołał na cały głos:

— To jednak zadziwiający starzec, którego nikt nie rozgryzie, ten archiwariusz Lindhorst. No, jego zdrowie! Trąćmy się, panie Anzelmie!

Na to student Anzelmus zbudził się ze swoich snów i rzekł, trącając się z registraratorem Heerbrandem:

— To wszystko dlatego, najszanowniejszy panie registraratorze, że pan archiwariusz Lindhorst jest właściwie Salamandrem, który zniszczył w gniewie ogród księcia-ducha Fosforusa, bo opuściła go kochanka, zielony wąż!

— Co? Jak?! — zapytał konrektor Paulmann.

— Tak — mówił dalej student Anzelmus — i dlatego właśnie musi teraz być archiwariuszem królewskim i mieszkać tu, w Dreźnie, ze swoimi trzema córkami, ale te córki to po prostu trzy małe złotozielone wężyki, które wygrzewają się na słońcu w krzakach bzu, śpiewają uwodzicielsko i wabią młodzieńców jak syreny.

— Panie Anzelmie! Panie Anzelmie! — zawołał konrektor Paulmann — czy panu się w głowie przewróciło?! Dłaboga, co też pan plecie?

— On ma rację — wtrącił registrarator Heerbrand — ten dziwny jegomość, ten archiwariusz, to przeklęty Salamander, co wyprztykuje z palców ogniste iskry, które mogą niejednemu wypalić dziury w płaszczu, jak żarząca hubka<sup>72</sup>. Tak, tak, masz rację, braciszku Anzelmie, a kto temu nie wierzy, ten mój wróg!

I tu registrarator Heerbrand wyrzwał pięścią w stół, aż szklanki zabrzękły.

— Registraratorze! coś pan, oszalał? — krzyknął rozszłoszczony konrektor. — Panie student! Panie student! Co pan za hece znowu urządza?!

— Ach! — odpowiedział student. — Z pana to także nic innego, tylko ptak puchacz, który peruki fryzuje, panie konrektorze!

— Co? Ja ptak, puchacz, fryzjer?! — krzyknął konrektor w najwyższej pasji. — Panie, pan jesteś wariat, wariat!

— Ale ta stara załazi mu dobrze za skórę — zawołał registrarator Heerbrand.

— Tak, stara jest potężna — wtrącił student Anzelmus — chociaż niższego pochodzenia; bo jej tata to zwyczajny śmieć, obszarpane pióro do zamiatania kurzu; a jej mama to nędzna buraczyna, a całą swoją siłę zawdzięcza ona rozmaitym nienawistnym kreaturom, jadowitemu łajdactwu, które ją otacza.

— To jest obrzydliwe oszczerstwo! — zawołała Weronika z oczyma rozbłysłymi gniewem — stara Elżbieta jest mądrą niewiastą, a czarny kot żadną tam jakąś nienawistną kreaturą, ale wykształconym, dobrze wychowanym młodzieńcem i jej *cousin germain*<sup>73</sup>.

— A czy on mógłby pożreć Salamandra, nie opalając sobie brody i nie ginąc marnie? — rzekł registrarator Heerbrand.

— Nie, nie! — krzyknął student Anzelmus — ani teraz, ani nigdy tego nie potrafi! A zielony wąż mnie kocha, bo ja jestem duszą dziecięcą i zobaczyłem oczy Serpentyń.

— Które kot wydrapie! — zawołała Weronika.

— Salamander, Salamander poskromi ich wszystkich! Wszystkich! — zagrzmiął konrektor Paulmann w najwyższej wściekłości. — Ale czy ja jestem w domu wariatów?! Czy ja sam zwariowałem?! Co ja za obłąkane głupstwa wygaduję?! Tak, jestem także wariat, także wariat!

Tu konrektor Paulmann skoczył, zerwał z głowy perukę i cisnął nią o sufit, aż zachrzęściły zgniecione loki i zupełnie zepsute, rozluźnione, sypnęły na wszystkie strony chmurami pudru. Wtedy student Anzelmus i registrarator Heerbrand chwycili za wazę z ponczem, za szklanki, i krzycząc radośnie, triumfalnie, rzucali je w sufit, aż trzaskające skorupy dźwięcząc i brzęcząc przelatowały wszędy.

— *Vivat*<sup>74</sup> Salamander! *Pereat*<sup>75</sup>, pereat wiedźma! Rozbijcie metalowe zwierciadło, wydrzyjcie kotu oczy! Ptaszki, ptaszki powietrzne, Eheu, Eheu, *Evoe*<sup>76</sup>, Salamander!

<sup>72</sup>*hubka* — wysuszona huba, używana do rozniecania ognia z pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*cousin germain* (fr.) — syn wuja bądź ciotki. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*viuat* (łac.) — niech żyje. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*pereat* (łac.) — niech zginie. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*evoe* (mit. gr.) — ekstatyczny okrzyk bachantek (czcicielek Dionizosa). [przypis edytorski]

Tak wrzeszczeli i ryczeli wszyscy trzej, jeden przez drugiego, jak opętani. Frania ucieła stamtąd z płaczem, a Weronika leżała na sofie, zawodząc z żalu i bólu.

Wtem drzwi otworzyły się, wszystko raptem ucichło i wszedł jakiś mały człowiek w szarym płaszczku. Twarz jego miała w sobie coś dziwacznie uroczystego, a pałkowato zagięty nos, na którym tkwiły wielkie okulary, wyróżniał się znakomicie wśród wszystkich, kiedykolwiek widzianych nosów. Miał także tak osobliwą perukę, że wydawała się ona raczej czapką z pierza.

— Aj, witam pięknie, dobry wieczór! — zaskrzeczał ten śmieszny człowieczek — znajduję tu zapewne studenta, pana Anzelmusa? Najniższy ukłon od pana archiwariusza Lindhorsta, na próżno oczekiwał dziś pana Anzelmusa, ale kazał najuprzejmiej prosić, żeby jutro nie zapominać o zwykłej godzinie.

Po czym zawrócił ku drzwiom i wyszedł, wszyscy zobaczyli teraz doskonale, że ten uroczysty człowieczek był właściwie szarą papugą.

Pan konrektor Paulmann i pan registrator Heerbrand wybuchnęli śmiechem, który grzmiąco zahuczał w pokoju, a Weronika tymczasem jęczała i szlochała, jakby wijąc się w bólu bezmiernym, a studenta Anzelmusa dreszczem przeniknął obłęd wewnętrznego przerażenia, rzucił się bez pamięci ku drzwiom i popędził przez ulicę. Mechanicznie odnalazł swoje mieszkanie, swój pokoik.

Wkrótce potem przyszła do niego spokojnie i przyjaźnie Weronika i zapytała, czemu ją tak dręczył po pijanemu i niech się wystrzeżga nowych przywidzeń, kiedy będzie pracował u archiwariusza Lindhorsta.

— Dobranoc, dobranoc, mój drogi przyjacielu — wyszeptła cicho Weronika i tchnęła pocałunek na jego usta.

Chciał ją wziąć w ramiona, lecz owa postać senna znikła — i oto zbudził się rześki i pokrzepiony.

Z całego serca śmiał się teraz ze skutków ponczu; ale myśląc o Weronice, czuł, że go przenika rozkoszne jakieś uczucie ukojenia.

— Jej tylko — mówił do siebie — mam do zawdzięczenia, że się pozbył swoich niedorzecznych przywidzeń. Doprawdy, nie lepiej mi było niż temu, który myślał, że jest szklany, albo temu, który nie wychodził z pokoju w obawie, że go kury zjedzą, bo wyobraził sobie, że jest ziarnkiem jęczmienia. Gdy zostanę radca dworu, ożenię się bez namysłu z panną Paulmann i będę szczęśliwy.

W południe, kiedy przechodził przez ogród archiwariusza Lindhorsta, nie mógł się dosyć nadziwić, że mogło mu się to wszystko wydawać tak szczególnie i cudowne. Nie widział teraz nic, oprócz zwykłych doniczkowych roślin, rozmaitych geranii, mirtów itp. Zamiast olśniewających, barwistych ptaków, które wyśmiewały się dawniej z niego, trzepotało się tylko tu i tam kilka wróbli, które podniosły niezrozumiały, nieprzyjemny wrzask, skoro zobaczyły Anzelmusa. Niebieski pokój wydał mu się również zupełnie inny i nie mógł zrozumieć, jak mogła mu się choć na chwilę podobać jego jaskrawa niebieska barwa oraz nienaturalne złote pnie drzew palmowych z bezkształtnymi, błyszczącymi liśćmi.

Archiwariusz spojrział nań z całkiem szczególnym, ironicznym uśmiechem i zapytał:

— No, i jakże panu smakował wczorajszy poncz, drogi Anzelmie?

— Ach, panu z pewnością już papuga... — odpowiedział student bardzo zawstydzony; ale urwał, bo znowu przyszło mu na myśl, że pojawienie się papugi było zapewne również złudzeniem odurzonych zmysłów.

— Ach, ja sam byłem przecież w tym towarzystwie — wtrącił archiwariusz Lindhorst — czyś mnie pan nie widział? Ale wobec tych wariackich wybryków, których się dopuszczaliście, a które mogły mnie mocno uszkodzić, bo siedziałem właśnie wtedy jeszcze w wazie, kiedy registrator Heerbrand chwycił za nią, aby nią rzucić o sufit, musiałem szybko zrejterować<sup>77</sup> w główkę od fajki konrektora. A teraz adieu, panie Anzelmie! Bądź pan pilnym, zapłacę bitego talara również za wczorajszy opuszczony dzień, boś pan dotychczas tak dzielnie pracował.

— Jakżeż ten archiwariusz może bając takie wariackie androny! — rzekł do siebie student Anzelmus i zasiadł przy stole, aby rozpocząć przepisywanie rękopisu, który archiwariusz rozpostarł przed nim jak zwykle. Ale na rulonie pergaminu zobaczył tak wiele

<sup>77</sup>zrejterować (daw.) — uciec. [przypis edytorski]

wijących się bezładnie kropek, zakrętów, mącących wzrok, nie dających żadnego punktu oparcia, że wydało mu się prawie niemożliwym przemaalować dokładnie to wszystko. A całość rękopisu robiła takie wrażenie, jakby pergamin był po prostu porysowanym przeróżnymi żyłkami marmurem albo też kamieniem przez muchy popstrzonym.

Nie zważając na to, chciał zrobić, co tylko było w jego mocy, i śmiało zanurzył pióro w kałamarzu; ale atrament nie chciał zupełnie spływać, strzepnął niecierpliwie pióro — i, o nieba! Wielki kleks upadł na rozłożony oryginał. Z sykiem i szumem wypadła z tego kleksa błękitna błyskawica i z trzaskiem przewiła się wężowo przez pokój aż pod powalę. Na to wykwitły ze ścian gęste dymy, liście zaczęły szumieć, jakby wstrząsane przez burzę, i z wnętrza ich runęły na dół migotliwe bazyliczki wśród błyskających płomieni, zapalając te dymy, tak że trzeszczące masy ognia kłębiły się wkoło Anzelmusa. Złote pnie drzew palmowych stały się olbrzymimi wężami, które z prze raźliwym, metalicznym dźwiękiem szcepiły swoje ohydne głowy, a luską pokrytymi ciałami owinęły Anzelmusa.

— Szaleńcze! Ponieśże teraz karę za to, coś uczynił w bezczelnym zuchwalstwie!

Tak zagrzmiął straszliwy głos ukoronowanego Salamandra, który zjawił się nad wężami, jak oślepiający promień wśród płomieni, i teraz rozwarte ich paszcze miotały na Anzelmusa kaskady ognia, a te strumienie ognia zgęszczały się wokół jego ciała, stając się zwartą lodową masą. A gdy tak, kurcząc się coraz bardziej, drętwiały, tężały członki Anzelmusa, przytomność go opuściła.

Kiedy znowu przyszedł do siebie, nie mógł się ruszyć, otaczał go jakby olśniewający blask, o który uderzał się, jeżeli tylko chciał podnieść rękę lub w ogóle jakoś się poruszyć.

Ach! Tkwił przecież w szczelnie zatkanej butelce, na półce w pokoju bibliotecznym archiwariusza Lindhorsta.

## WIGILIA DZIESIĄTA

*Cierpienia studenta Anzelmusa w szklanej butelce. — Szczęśliwy żywot seminarzystów i praktykantów. — Bitwa w pokoju Lindhorsta. — Zwycięstwo Salamandra i oswobodzenie studenta Anzelmusa.*

Z dużą słuszością mogę chyba wątpić, łaskawy czytelniku, czyś siedział kiedy zamknięty w szklanej butelce, chyba że jakiś żywy, przekorny sen obdarzył cię takim bajecznym wrażeniem. Jeżeli tak było, to bardzo gorąco odczujesz ciężki los biednego studenta Anzelmusa. Ale jeżeliś nie śnił nigdy o czymś podobnym, to niechże cię twoja bujna wyobraźnia zamknie na kilka chwil w kryształ dla przypodobania się mnie i Anzelmusowi.

Zewsząd otacza cię oślepiający blask, wszystkie przedmioty naokół jawią ci się otoczone i oświetlone barwami tęczy — wszystko drży i waha się, i dźwięczy w tych lśnieniach — plyniesz, nie mogąc się ruszyć, jakby w mocno zamrożym eterze<sup>78</sup>, który tak zewsząd naciska, że próżno duch rozkazuje zmartwialemu ciału. Coraz ciężej, coraz ciężej cetnarowe<sup>79</sup> brzemię ugniata pierś twoją, coraz więcej, coraz więcej resztek powietrza, które bujają jeszcze w tej ciasnej przestrzeni, zabiera każdy oddech. Żyły twoje pęcznieją, a każdy nerw drga, przebity strachem okropnym, krwawiący w walce śmiertelnej.

Współczuj, łaskawy czytelniku, studentowi Anzelmusowi, który doświadczył tych niewysłowionych mąk w swoim szklanym więzieniu; a czuł doskonale, że i śmierć go nie może wyzwolić: bo czyż nie ocknął się z głębokiego omdlenia, w które popadł w nadmiarze swej męki, gdy ranne słońce zajrzało jasno, wesoło do pokoju, i czyż jego męka nie zaczęła się na nowo? Nie mógł ruszyć żadną z kończyn; myśli jego uderzały o szkło, ogłuszając fałszywymi dźwiękami<sup>80</sup>, i zamiast słów, którymi dawniej duch przemawiał z głębin jego istoty, słyszał tylko ponury, mętny szum obłąkania.

I wtedy krzyknął w rozpacz:

— O Serpentyno! Serpentyno, ratuj mnie od tych mąk piekielnych!

<sup>78</sup>eter — wg dawnych koncepcji kosmologicznych niedostrzegalna substancja wypełniająca wszechświat. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>cetnarowe — ciężki (od: cetnar, tj. dawna jednostka masy, równa 100 kg). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>dźwięki — dziś popr. forma N.lm: dźwiękami. [przypis edytorski]

Ciche, lekkie westchnienia owiały go, pokładły się wokoło na butelce, jak przejrzyste, bżowe liście; ustało dźwięczenie, zniknął oślepiający, mącący zmysły blask — i odetchnął lżej.

— Czyż nie ja sam jestem winien swojej nędzy? Ach! Czyż nie bluźniłem nawet przeciw tobie samej, słodka, ukochana Serpentyno? Czyż nie wyrażałem co do ciebie podłych wątpliwości? Czyż nie utraciłem wiary, a z nią wszystkiego, wszystkiego, co mnie mogło tak szczytnie uszczęśliwić? Ach, teraz to już pewno nigdy nie będziesz moją, przepadł już dla mnie złoty garnek, nigdy już pewno nie ujrzę jego cudów! Ach, tylko jeden, jedyny raz cię zobaczyć, twój słodki głos usłyszeć, Serpentyno najmiłsza!

Tak jęczał student Anzelmus, ogarnięty głębokim, przenikającym bólem; wtem rzekł ktoś tuż obok niego:

— Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, panie studencie, czemuż pan tak nad wszelki wyraz żałośnie lamentujesz?

Student Anzelmus zobaczył, że na tej samej półce stało jeszcze pięć butelek, a w nich trzech seminarzystów i dwóch praktykantów.

— Ach, moi panowie, współtowarzysze niedoli! — zawołał — jakżeż możecie być tak swobodnymi, nawet tak zadowolonymi, jak to widzę po waszych wesołych twarzach? Siedzicie przecież równie dobrze zamknięci w szklanych butelkach, jak ja, i nie możecie ani palcem ruszyć, nie możecie nawet pomyśleć o czymś dorzecznym, żeby nie powstał zaraz zabójczy hałas z dzwonieniem i dźwięczeniem i żeby nie zaczęło wam straszliwie szumieć i huczeć w głowie. Ale wy z pewnością nie wierzycie w Salamandra i w zielonego węża?

— Bajesz pan zdrowo, mój panie studencie — odpowiedział jeden z seminarzystów — nigdy nam nie było lepiej niż teraz: bardzo nam się przydały owe bite talary, któreśmy otrzymali od tego wariata archiwariusza za najrozmaitsze pokręcone przepisywania; nie potrzebujemy już teraz uczyć się na pamięć żadnych chórów włoskich, chodzimy sobie codziennie do Józefa albo do jakiej innej knajpy, popijamy znakomite piwo, zaglądamy też nieraz w oczy ładnym dziewczynom, śpiewamy, jak prawdziwi studenci, *Gaudeamus igitur*<sup>81</sup> i jesteśmy zadowoleni z całej duszy.

— Macie panowie zupełną słuszność — wtrącił jeden z praktykantów — i ja także jestem dobrze wyposażony w bite talary, jak również mój drogi kolega obok mnie, i pilnie odbywam przechadzki na Weinberg, zamiast siedzieć wśród czterech ścian przy tej okropnej pisaninie aktów.

— Ależ moi drodzy, najzacniejsi panowie — rzekł student Anzelmus — czyż panowie nie odczuwacie, że wszyscy razem i każdy z osobna siedzicie w szklanych butelkach i nie możecie przecież nawet palcem ruszyć, a tym mniej jeszcze spacerować, gdzie wam się podoba?

Na to seminarzyści i praktykanci wybuchnęli głośnym śmiechem i zakrzyknęli:

— Ten student zwariował, zdaje mu się, że siedzi w szklanej butelce, a on stoi na moście nad Elbą i patrzy prosto w wodę. E, chodźmy sobie stąd!

— Ach! — westchnął student — ci nie oglądali nigdy słodkiej Serpentyny, oni nie wiedzą, co to jest wolność i życie w wierze i miłości! Dlatego też nie odczuwają ucisku więzienia, do którego ich wtrącił Salamander, nie pozwala im na to ich głupota, ich prostactwo; ale ja, nieszczęśliwy, zginę w hańbie i nędzy, jeżeli nie wyratuje mnie ta, którą tak bezgranicznie kocham.

A wtedy wionął i zaszeleścił przez pokój głos Serpentyny:

— Anzelmie! Wierz, kochaj, miej nadzieję!

I wszystkie te dźwięki promieniowały do wnętrza więzienia Anzelmusa, kryształ ustępował przed ich potęgą i rozkurczał się tak, że pierś uwięzionego mogła się wznosić i poruszać. Coraz bardziej zmniejszały się jego męki i widział teraz, że Serpentyna go jeszcze kocha, i że to ona tylko czyni mu pobyt w kryształach możliwym do zniesienia. Przestał już zważać na swoich lekkomyślnych towarzyszy niedoli, lecz skierował myśli i uczucia jeno ku słodkiej Serpentynie.

<sup>81</sup>*Gaudeamus igitur* (łac.) — cieszymy się więc (pierszy wers popularnej śrdw. pieśni studenckiej). [przypis edytorski]

Ale wtem z innej strony powstało jakieś głuche, wstrętne mruczenie. Wkrótce już mógł zauważyć dokładnie, że mruczenie to wychodziło z jakiegoś starego imbryka do kawy, który stał naprzeciwko niego na malej szafce. Kiedy tak patrzył nań pilnie, coraz wyraźniej rozwijały się przed nim odrażające rysy jakiejś starej, pomarszczonej twarzy i naraz stanęła przed półkami sprzedawczyni jabłek spod Czarnej Bramy. Wykrzywiła się, zaśmiała do niego i zawołała przeraźliwie:

— Aj, aj, synku! Co też to musisz znosić? W kryształach teraz twoje żale! Czyż nie przepowiedziałam ci i tego od dawna?

— Szysz teraz i drwij ze mnie, przeklęta czarownico — powiedział student Anzelmus. — Ty jesteś wszystkiemu winna, ale Salamander dostanie cię, nędzna główko buraka!

— Ho, ho! — odparła stara — tylko nie tak dumnie! Ty synkowi mojemu na twarz nastąpiłeś, ty mnie nos oparzyłeś, ale ja ciebie lubię, hultaju jeden, bo kiedyś byłeś przyzwoitym człowiekiem, i moja córuchna także ciebie lubi. Ale z tego kryształu to już nigdy nie wyjdiesz, jeżeli ja ci nie pomogę; dostać się do ciebie tak wysoko nie mogę; ale mój pan kum, sznur, który mieszka zaraz koło ciebie, na strychu, ten przegryzie półkę, na której stoisz, wtedy fikniesz na dół, a ja złapię cię w fartuch, żebyś sobie nosa nie rozbił, ale zachował swoją gładziuchną twarzyczkę, i w lot cię zaniosę do mamzel<sup>82</sup> Weroniki, z którą się musisz ożenić, skoro zostaniesz radcą dworu.

— Odczep się ode mnie, ty pomioście diabelski! — krzyknął student Anzelmus, pełen wściekłego gniewu. — Tylko twoje sztuki piekielne pobudziły mnie do zuchwalstwa, które muszę teraz odpokutować. Ale cierpliwie zniosę to wszystko; bo tu tylko mogę istnieć, gdzie słodka Serpentina otacza mnie miłością i pokrzepieniem. Usłysz to, stara, i zwątpij! Nie ułękne się twojej mocy, Kocham po wieczne czasy tylko Serpentinę, nie zechcę nigdy zostać radcą dworu, nigdy już zobaczyć Weroniki, która mnie przez ciebie pociąga ku złemu! Jeżeli nie ma już do mnie należeć zielony wąż, to niechaj zginę w tęsknocie i bólu! Idź precz! Idź precz, ty podły śmieciu buraczany!

Tu stara wybuchła takim przeraźliwym śmiechem, że aż rozbrzmiał po pokoju, i zawołała:

— To siedź tu sobie i giń, ale teraz już czas wziąć się do dzieła, bo ja tu przyszedłam załatwić jeszcze inne sprawy.

Zdjęła swój czarny płaszcz i stanęła w ohydnej nagości, potem zaczęła biegać wokoło, pospadały z góry wielkie foliały<sup>83</sup>, z których wyrzywała karty pergaminu i spajając je szybko i kunsztownie ze sobą, i nakładając je na ciało, przybrała się wkrótce jakby w dziwaczny, barwisty pancerz. Miotając ognie, wyskoczył z kałamarza, co stał na stole, czarny kocur i zamiauczał ku starej, która z radości głośno krzyknęła i zniknęła z nim razem za drzwiami. Anzelmus dostrzegł, że poszli do niebieskiego pokoju, i wnet usłyszał w oddali syki, świsty i huki, ptaki w ogrodzie krzyczały, papuga skrzeczała:

— Ratuj! Ratuj! Rabuś! Rabuś!

W tej chwili stara wpadła na powrót do pokoju, niosąc złoty garnek na ramieniu i krzycząc dziko, rozgłośnie w ohydnych podskokach i grymasach:

— Dobra nasza! Dobra nasza! Synku, zabij zielonego węża! dalejże, synku, dalej!

Anzelmowi zdało się, że słyszy głęboki jęk, że słyszy głos Serpentinę. I ogarnęła go zgroza i rozpacz.

Zebrał się w sobie, skupił wszystkie siły, uderzył sobą w kryształ z taką mocą, że mogły mu popękać wszystkie nerwy, wszystkie żyły — przeraźliwy dźwięk przeleciał przez pokój i w drzwiach stanął archiwariusz w swoim błyszczącym adamaszkowym szlafroku.

— Hej, hej! Hołota, straszidła wściekle, strzygi<sup>84</sup> czarownicze, do nogi tu! Hej, ha!

Tak krzyknął. Na to czarne włosy wiedźmy zjeżyły się jak szczecina, żarzące czerwone jej oczy zabłysły piekielnym ogniem — i zaciskając spiczaste zęby szerokiej paszczy, zasyczała:

— Bierz go, bierz, krzesz ognia, krzesz! — i śmiała się, i beczała jak koza, szyszając i drwiąc, i przyciskała do siebie mocno złoty garnek i rzucała z niego garście błyszczącej ziemi na archiwariusza, ale kiedy ta ziemia dotykała szlafroka, zamieniała się w kwiaty, które opadały na ziemię. A wtedy zajaśniały, zapłonęły lilie szlafroka i archiwariusz

<sup>82</sup>mamzel — zniekształcone fr. *madmoiselle*, tj. panna. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>foliał — gruba księga. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>strzyga — upiór. [przypis edytorski]

jął<sup>85</sup> ciskać płonące, iskrzące ogniem lilie na czarownicę, która wyla z boleści; ale kiedy podskakiwała w górę i wstrząsała pergaminowym pancierzem, lilie gasły i rozpadały się w popiół. — Pożeraj to, mój chłopcze! — zaskrzeczała stara, na to czarny kocur wzbil się w powietrze i leciał ze świstem i szumem ku drzwiom ponad archiwariuszem, ale szara papuga łopocąc wyleciała naprzeciw niego i schwyciła go zakrzywionym dziobem za kark, aż z szyi mu wytrysnęła krew czerwona, ognista, a głos Serpentyny zawołał:

— Ocalona, ocalona!

Tu stara w rozpaczliwej wściekłości skoczyła wprost na archiwariusza, rzuciła złoty garnek za siebie i wysuwając długie palce kościstych dłoni, chciała wpić w niego swe szpony; ale ten szybko zerwał z siebie szlafrok i rzucił go na wiedźmę. A wtedy zaświszczały, zahuczały, posypały się z kart pergaminu błękitne, trzaskające płomienie, stara wiała się wyjąc z boleści i starała się coraz więcej ziemi z garnka wygarniać, coraz więcej kart pergaminowych z książek wyrwać, aby zagasić buchające płomienie, i jeśli udawało jej się rzucić na siebie ziemię lub karty pergaminu, to ogień przygasał.

Ale tu, jakby z wnętrza archiwariusza, trysnęły na starą błyskające, syczące płomienie.

— Hej, hej! W pień ich, w pień! Górą Salamander! — zagrział potężnie głos archiwariusza i sto piorunów przewinęło się w ognistych kręgach nad skwierczącą wiedźmą.

Rzęząc i charcząc we wścieklej walce ze sobą łopotali po całym pokoju kocur i papuga. Ale w końcu papuga przybiła kocura krzepakami<sup>86</sup> skrzydłami do ziemi przesywając go i trzymając mocno pazurami, że aż w strachu śmiertelnym miauczał i wrzeszczał okropnie, ostrym dziobem wyklęła mu żarzące ślepią, aż wytrysnęła z nich piana ognista.

Gęsty dym kłębił się tam, gdzie pod szlafrokiem leżała stara, obalona na ziemię; jej wycie, jej straszliwe, rozdzierające, żałosliwe wrzaski przebrzmiały już w dali najodleglejszej. I wreszcie zniknął ów dym, co rozszedł się wszędy z przenikającym smrodem, archiwariusz podniósł szlafrok i oto leżał pod nim jakiś obrzydliwy burak.

— Czcigodny panie archiwariuszu, oto przynoszę panu zwyciężonego wroga — rzekła papuga, podając archiwariuszowi Lindhorstowi jakiś czarny włos.

— Bardzo dobrze, moja kochana — odparł archiwariusz — tu leży również moja zwyciężona przeciwniczka, zajmij się teraz z łaski swojej resztą; dzisiaj jeszcze otrzymasz jako drobny upominek sześć kokosowych orzechów i nowe okulary, bo, jak widzę, ten kocur paskudnie ci rozbił szkła.

— Zawsze na twoje usługi, czcigodny przyjacielu i łaskawco — odpowiedziała papuga, bardzo uradowana, podjęła dziobem główkę buraka i wyleciała z nią za okno, które jej roztworzył archiwariusz Lindhorst.

Ten zaś uchwycił złoty garnek i zawołał głośno:

— Serpentyno! Serpentyno!

Kiedy student Anzelmus, uszczęśliwiony pognębieniem podlej wiedźmy, spojrzął teraz na archiwariusza, była to znowu majestatyczna, wzniosła postać księcia-ducha, który patrzył nań z nieopisaną słodyczą i godnością.

— Anzelmie — rzekł książę-duch — nie ty byłeś przyczyną niewiary twojej, tylko wrogi żywioł, co usiłował przeniknąć w twoją duszę i złamać ją. Daleś dowody wierności, bądź wolny i szczęśliwy.

Błyskawica załśniła w duszy Anzelmusa, wspaniały trójdźwięk kryształowych dzwonów zabrzmiał mu silniej, potężniej niż kiedykolwiek, zadrżały w nim wszystkie włókna i nerwy — lecz coraz mocniej nabrzmiewał dźwięczący w pokoju akord, szkło, co więziło Anzelmusa, pękło, a on upadł w ramiona słodkiej, najmiłszej Serpentyny.

## WIGILIA JEDENASTA

*Niepokój konrektora Paulmanna z powodu obłądu, co wybuchł w jego rodzinie. — Jak registrator Heerbrand został radcą dworu i przyszedł podczas najcięższego mrozu w trzewikach i jedwabnych pończochach. — Wyznania Weroniki. — Zaręczyny przy dymiącej wazie z zupą.*

<sup>85</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>krzepak (daw.) — silny. [przypis edytorski]



— Ależ powiedźże mi pan, najszanowniejszy rejestratorze, jakże nam wczoraj mógł ten przeklęty poncz tak uderzyć do głowy i popchnąć ku tyłu przeróżnym *alotriis*<sup>87</sup>?

Tak powiedział pan konrektor Paulmann, wchodząc następnego ranka do pokoju, co pełen był jeszcze potrząskanych skorup i na którego środku pływała w ponczu nieszczęsna peruka, roztrzęsiona na poszczególne części składowe.

Skoro student Anzelmus wybiegł był za drzwi, pan konrektor i pan rejestrator Heerbrand zataczali się chwiejnie po całym pokoju, wrzeszcząc jak opętani i uderzając się nawzajem głowami, aż wreszcie Frania z wielkim trudem zaprowadziła nietrzeźwego tatę do łóżka, a rejestrator, zupełnie wyczerpany, osunął się na kanapę, którą Weronika opuściła ucieklszy do swojej sypialni.

Pan rejestrator Heerbrand miał głowę okręconą niebieską chustką od nosa, wyglądał bardzo blado i melancholijnie i jęczał:

— Ach, drogi konrektorze, to nie ten poncz, który mamzel Weronika przyrządziła wyśmienicie, nie! To ten przeklęty student winien tym wszystkim wariactwom. Czyś pan nie zauważył, że on już od dawna jest *mente captus*<sup>88</sup>? A czyż pan nie wiesz także, że obłęd jest zaraźliwy? Kiep zaraz znajdzie naśladowców — przepraszam pana, to takie stare przysłowie — szczególnież zaś, kiedy się trochę podpije, łatwo ulega się szaleństwu i mimo woli naśladuje się i wpada w ekscesy, które demonstruje nam taki egzemplarz. Czy uwierzy pan, konrektorze, że mi się jeszcze w głowie kręci, kiedy pomyślę o tej szarej papudze?

— Ach, co znowu — przerwał konrektor — głupstwo! — To był przecież ten mały, stary famulus<sup>89</sup> Lindhorsta, który wdział na siebie szary płaszcz i szukał studenta Anzelmusa.

— Może być — odparł rejestrator Heerbrand — ale muszę się przyznać, że jest mi jakoś bardzo głupio na sercu. Przez calusienką noc coś tak dziwnie trąbiło i świszczowało.

— To ja — odpowiedział konrektor — bo ja mocno chrapię.

— No, niech i tak będzie — mówił dalej rejestrator. — Ach, konrektorze, konrektorze! Nie bez przyczyny starałem się wczoraj urządzić coś wesołego, ale ten Anzelmus popsuł mi wszystko. Pan nie wiesz... o konrektorze, konrektorze!

Pan rejestrator Heerbrand wstał, zerwał z głowy chustkę, chwycił konrektora w objęcia, ogieńście go uściśnął za rękę, jeszcze raz zawołał całkiem rozdzierająco. — o konrektorze, konrektorze! — i złapawszy laskę i kapelusz, szybko popędził w świat.

— Anzelmus nie przestąpi już progu mego domu — rzekł konrektor Paulmann — bo widzę teraz doskonale, że jego zakamieniały obłęd wewnętrzny w najlepszych ludziach zabija ostatnie źdźbło rozsądku; rejestrator jest już teraz gotów, ja się jeszcze dotychczas trzymałem, ale diabeł, który mocno szturmował wczoraj w pijackim odurzeniu, mógłby wszak wreszcie dobrać się do mnie i zacząć swoją zabawę. A więc *apage satanas*<sup>90</sup>! Precz z Anzelmusem!

Weronika wpadła w głębokie zamyślenie, nie odzywała się ani słowem, tylko chwilami uśmiechała się całkiem szczególnie i najlepiej lubiła być samą.

— Tej także cięży myśl o Anzelmusie — mówił konrektor pełen złości — ale dobrze, że on się wcale nie pokazuje, wiem, że się mnie boi ten Anzelmus, dlatego tu wcale nie przychodzi.

Ostatnie słowa wyrzekł konrektor Paulmann zupełnie głośno, a Weronice, która była przy tym obecna, lzy popłynęły z oczu i westchnęła:

— Ach, czyż Anzelmus może tu przyjść? Zamknięto go przecież w szklanej butelce.

— Co? Jak? — zawołał konrektor Paulmann. — Ach Boże! ach Boże, i ona już także plecie tak samo jak rejestrator, wkrótce nastąpi katastrofa. Ach ty przeklęty, obrzydliwy Anzelmusie!

Natychmiast popędził do doktora Ecksteina, który uśmiechnął się i znów powiedział: — Aj, aj! — Ale nic nie zapisał, dodał tylko do tego, co tak krótko wyraził, jeszcze następujące wskazówki: — Nerwowe przypadłości! To samo przejdzie — wyprowadzać

<sup>87</sup>*alotria* — psoty, figle (wyraz niemiecki z łacińską końcówką). [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*mente captus* (łac.) — chory na umyśle. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*famulus* — zaufany sługa. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*apage satanas* (gr.) — idź precz, szatanie (początek formuły egzorcyzmów). [przypis edytorski]

na powietrze — wyjeżdżać na spacer — rozerwać się — teatry — wizyty — koncerty — jakoś to pójdzie!

Rzadko kiedy doktor bywa tak wymowny — myślał konrektor Paulmann — porządnie się nagadał!

Upłynęło wiele dni i tygodni, i miesięcy, Anzelmus gdzieś zniknął, a pan registrator Heerbrand również się nie pokazywał aż do czwartego lutego, kiedy wszedł w nowym, modnym ubraniu z najlepszego materiału, w trzewikach i jedwabnych pończochach, pomimo tęgiego mrozu, z bukietem żywych kwiatów w ręku, punktualnie o dwunastej w południe do pokoju konrektora Paulmanna, który niemało się zadziwił na widok tak wystrojonego przyjaciela.

Uroczyście przystąpił pan registrator Heerbrand do konrektora, objął go z wytworną elegancją i powiedział:

— Dzisiaj, w dniu imienin pańskiej drogiej, szanownej mamzel Weroniki, chciałbym nareszcie wypowiedzieć wszystko, co mi od dawna leżało na sercu! Wtedy, w ów nieszczęśliwy wieczór, kiedy tu przyniósł w kieszeni ingrediencje<sup>91</sup> do tego zabójczego ponczu, miałem zamiar obwieścić panu radosną nowinę i wesoło przepędzić ów dzień szczęśliwy, już wtedy dowiedziałem się, że zostałem radcą dworu, na które to wyższe stanowisko otrzymałem obecnie patent *cum nomine et sigillo principis*<sup>92</sup> i mam go przy sobie w kieszeni.

— Ach! ach! panie registr... panie radco dworu Heerbrand, chciałem powiedzieć — wybelkotał konrektor.

— Ale pan, szanowny panie konrektorze — mówił dalej obecny radca dworu Heerbrand — pan dopiero możesz dopełnić miary mojego szczęścia. Od dawna już w cichości kocham mamzel Weronikę i mogę się poszczycić pewnymi przyjaznymi spojrzeniami, którymi mnie obdarzała i które wyraźnie mi ukazały, że chyba nie będzie na mnie nielaskawą. Krótko mówiąc, najszanowniejszy konrektorze, ja, radca dworu Heerbrand, proszę o rękę pańskiej kochanej, ślicznej *demoiselle*<sup>93</sup> córki Weroniki, którą bym pragnął niezadługo zabrać do siebie, o ile szanowny pan nie ma nic przeciwko temu.

Konrektor Paulmann klasnął w ręce ze zdumienia i zawołał:

— Aj! Aj! Aj! panie registr... panie radco dworu, chciałem powiedzieć, któż by to pomyślał! No, jeśli Weronika pana rzeczywiście kocha, to ja ze swej strony nie mam nic przeciwko temu; może też jej ciężkie przygnębienie obecne jest tylko ukrytym zakochaniem się w panu, najszanowniejszy panie radco dworu; znane to rzeczy.

W tej chwili weszła do pokoju Weronika, błada i pomieszana, jaką teraz zwykle bywała. Radca dworu Heerbrand podszedł do niej, powinszował jej w składnej mowie imienin i podał wraz z pachnącym bukietem małą paczuszkę, w której, skoro ją otworzyła, zabyła para lśniących kolczyków. Przelotny rumieniec zabarwił jej policzki, oczy zajaśniały żywiej i zawołała:

— Aj, mój Boże, toć to te same kolczyki, które nosiłam już przed kilku miesiącami i bawiłam się nimi!

— Jakże to być może? — rzekł radca dworu Heerbrand, nieco zmieszany i urażony — kiedy ja zaledwie godzinę temu kupiłem ten klejnot przy Schlossgasse za wcale poważną sumę?

Ale Weronika nie słuchała tego, tylko stała przed lustrem, badając efekt kolczyków, które zaraz założyła w swe małe uszka.

Konrektor Paulmann z uroczystą miną i surowym tonem oznajmił jej o podniesieniu stopnia służbowego przyjaciela Heerbranda i o jego oświadczeniach. Weronika spojrzała na radcę dworu przejmująco i rzekła:

— Od dawna wiedziałam, że pan chcesz ożenić się ze mną. A więc niech tak będzie! Przyrzekam panu serce i rękę, ale muszę wam przedtem — to znaczy wam obydwom,

<sup>91</sup>ingredienca (z łac.) — składnik. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>cum nomine et sigillo principis (łac.) — z imieniem i pieczęcią księcia. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>demoiselle (fr.) — panna. [przypis edytorski]

ojcu i narzeczonemu — wyznać coś, co mi od dawna ciąży na duszy — i to zaraz, w tej chwili, choćby zupa, którą, jak widzę, Frania stawia na stole, miała ostygnąć.

I nie czekając na odpowiedź konrektora i radcy dworu, chociaż słowa najwidoczniej drżały im na ustach, Weronika mówiła dalej:

— Możesz mi wierzyć, drogi ojcze, że całym sercem kochałam studenta Anzelmusa, a kiedy registrator Heerbrand, który sam teraz został radcą dworu, zapewniał, że Anzelmus mógłby dojść do czegoś podobnego, postanowiłam, że on, a nie kto inny, ma zostać moim mężem. Ale ponieważ zdawało się, że jakieś obce, wrogie istoty chcą mi go odebrać, więc uciekłam się do starej Elżbiety, która była niegdyś moją piastunką, a teraz jest mądrą niewiastą, wielką czarodziejką. Ona obiecała mi pomoc i oddać całkowicie w moje ręce Anzelmusa. Poszliśmy z nią o północy, podczas porównania dnia z nocą, na rozstaje drogi, ona zaklęła duchy piekielne i z pomocą czarnego kocura sporządziliśmy małe, metalowe zwierciadło, w które mogłam spojrzeć tylko skierowawszy myśli na Anzelmusa, aby całkiem zapanować nad jego myślą i uczuciem. Ale teraz żałuję z całego serca, że to wszystko zrobiła, wyrzekam się wszelkich spraw szatańskich. Salamander zwyciężył starą, słyszałam jej żalosne krzyki, ale już nie było ratunku; a skoro pożarła ją, jako główkę buraka, papuga, moje metalowe zwierciadło pękło z przeraźliwym dźwiękiem.

Weronika wyjęła ze szkatułki obydwa kawałki rozbitego zwierciadła oraz pęk włosów i podając radcy dworu Heerbrandowi jedno i drugie, mówiła dalej:

— Weź pan teraz, najdroższy radco dworu, te kawałki zwierciadła, rzuć je pan dzisiaj o dwunastej w nocy z mostu na Elbie do rzeki, i to w tym miejscu, gdzie stoi krzyż — tam rzeka nie zamrznięta — ale pęk włosów zachowaj pan na wiernej piersi. Jeszcze raz się wyrzekam wszelkich spraw szatańskich i całym sercem wieszuję Anzelmusowi jego szczęścia, bo on teraz połączył się z zielonym wężem, z Serpentyną, która jest daleko piękniejsza i bogatsza ode mnie. Chcę teraz, najdroższy radco dworu, pana kochać i poważać, jako prawowita pańska małżonka.

— Ach Boże! Ach Boże! — zawołał z bólem konrektor Paulmann — ona jest obłąkana, nigdy nie będzie mogła zostać radczynią dworu! Ona jest obłąkana.

— Ani trochę — przerwał mu radca dworu Heerbrand — wiem bardzo dobrze, że mamzel Weronika miała pewną skłonność do tego niepoczytalnego Anzelmusa i dosyć możliwym jest, że zbyt wiele sobie z tego robiąc, zwróciła się do tej mądrej kobiety, która, jak sądzę, nie może być chyba kim innym, jak tą, która wróży z kart i z fusów kawy, tą spod Bramy Morskiej, krótko mówiąc, starą Rauerinową.

Niepodobna także zaprzeczyć, że może naprawdę istnieją sztuki tajemne, które raczej zbyt wyraźnie dają człowiekowi poznać swoje szkodliwe wpływy — czytaliśmy o tym w starych księgach; ale to, co mamzel Weronika mówiła o zwycięstwie Salamandra i połączeniu się Anzelmusa z zielonym wężem, jest zapewne tylko poetyczną alegorią a zarazem poematem, w którym wyśpiewała swoje ostateczne pożegnanie ze studentem.

— Niech pan to uważa, za co się panu podoba, drogi radco dworu, choćby za bardzo niedorzeczne marzenie.

— Żadną miarą tego nie uczynię — zaprzeczył radca dworu Heerbrand — bo ja wiem doskonale, że Anzelmusa również opętały moce tajemne, które pobudzają go i zmuszają do wszelkich możliwych wariackich wybryków.

Dłużej już konrektor Paulmann nie mógł wytrzymać i wybuchnął:

— Stójcie, na miły Bóg, stójcie! Czyśmy się znowu popili tym przeklętym ponczem, czy też może Anzelmusowy obłęd nas ogarnia? Panie radco dworu, co pan znowu za jakieś bajdy opowiada? Śmiem wierzyć, że to miłość panu takie figle w mózgu wyprawia; ale to wszystko w małżeństwie zaraz przejdzie, inaczej obawiałbym się, czy i pan także nie wpadniesz w jaki obłęd, najszanowniejszy panie radco dworu, i żywiłbym pewne obawy co do potomstwa, które mogłoby odziedziczyć *malum*<sup>94</sup> rodziców. A teraz daję moje ojcowskie błogosławieństwo na ten związek radosny i pozwalam, abyście się pocałowali, jako narzeczony z narzeczoną.

To nastąpiło natychmiast i zanim jeszcze ostygła rozlana już na talerze zupa, odbyły się formalne zaręczyny. W kilka tygodni potem pani radczyni dworu Heerbrand siedziała naprawdę, tak jak to już dawniej zobaczyła w marzeniu, na ganku pięknego domu na

<sup>94</sup>*malum* (łac.) — zło, choroba, defekt. [przypis edytorski]

Neumarkt i z uśmiechem spoglądała w dół na elegantów, którzy przechodząc i lornetując ją, mówili:

— Jakaż to jednak boska kobieta, ta pani radczyni dworu Heerbrandowa!

## WIGILIA DWUNASTA

*Więści o dobrach dziedzicznych, do których przeniósł się student Anzelmus, jako zięć archiwariusza Lindhorsta, i o jego tam życiu z Serpentyną. — Zakończenie.*

Jakżem ja zaprawdę w głębi duszy odczuwał niebiańskie szczęście studenta Anzelmusa, co połączony najściślej z Serpentyną, przeniósł się teraz do owej tajemniczej, cudownej krainy, w której uznał swą ojczyznę, do której od tak dawna już tęskniła pierś jego, pełna dziwnych przeczuć! Lecz próżne były, miły czytelniku, wszelkie wysiłki, aby ci choć ogólnikowo nakreślić słowami obraz wszystkich tych wspaniałości, jakie otaczają Anzelmusa. Z odrazą stwierdzałem bezbarwność wszelkich wyrażań: czułem się przygnieciony przez nędzne małostki codziennego życia, zachorowałem z męczącego niesmaku, leżałem jak zemdlony, krótko mówiąc, popadłem w ów stan studenta Anzelmusa, który ci opisałem, łaskawy czytelniku, w wigilii czwartej. Strasznie się zgryzłem, skoro przebiegłem owe jedenaście wigilii, które szczęśliwie doprowadziłem do końca, i pomyślałem, że nigdy już chyba nie będzie mi sądzone dorzucić do nich dwunastej, ostatniej cegiełki: bo ile razy tylko zasiadałem nocą, aby dokończyć dzieła, zawsze bywało tak, jakby jakieś srodze podstępne duchy (byli to zapewne krewniacy, może *cousin germains* zabitej czarownicy) trzymały przede mną lśniące, wypolerowane zwierciadło, w którym dostrzegałem swoje ja, blade, niewyspane i melancholijne, jak registrator po ponczowym pijaństwie.

Ciskałem wtedy pióro i spieszyłem do łóżka, aby przynajmniej marzyć o szczęśliwym Anzelmusie i słodkiej Serpentyńce. Trwało to już wiele dni i nocy, kiedy wreszcie zupełnie niespodzianie otrzymałem od archiwariusza Lindhorsta list, w którym pisał mi, co następuje:

Wielmożny pan opisał, jak się dowiedziałem, nadzwyczajne koleje losu mojego kochanego zięcia, byłego studenta a obecnie poety, Anzelmusa, w jedenastu wigiliach i teraz się wielmożny pan bardzo nad tym mordu-jesz, aby w dwunastej, ostatniej, powiedzieć coś o jego szczęśliwym pożyciu w Atlantydzie, gdzie zamieszkał wraz z moją córką w pięknych dobrach dziedzicznych, jakie ja tam posiadam. Chociaż mi teraz nie bardzo jest na rękę, żeś wielmożny panie poinformował ogół czytających, kim właściwie jestem, chociaż kto wie, czy nie narazi mnie to, jako urzędnika, jako tajnego archiwariusza, na tysiączne nieprzyjemności, a może nawet zmusi do postawienia i roztrząśnienia *in collegio*<sup>95</sup> pytania: o ile Salamander może prawnie i z wszelkimi następstwami składać przysięgę na urząd państwowy i o ile można mu w ogóle powierzać poważne sprawy — bo według Gabalisa i Swedenborga duchom pierwotnym nie należy ani na chwilę dowierzać — chociaż teraz najlepsi moi przyjaciele unikać będą moich uścisków, z obawy, że mogłaby mi naraz przyjść do głowy swawolna myśl, błysnąć coś niecoś i zepuć im fryzurę lub frak odświętny — pomimo to wszystko, mówię, chciałbym jednak wielmożnemu panu pomóc w dokończeniu dzieła, gdyż powiedziano tak wiele dobrego o mnie i o mojej drogiej, zameżnej córce (chętnie bym się również pozbył dwóch pozostałych). Jeżeli więc chcesz pan napisać wigilię dwunastą, to jeżdż pan ze swojego przeklętego piątego piętra, opuść swój pokoiik i przyjdź do mnie. W znanym już panu błękitnym pokoju palmowym znajdziesz pan potrzebne przybory do pisania i będziesz mógł wtedy w niewielu słowach zdać swoim czytelnikom sprawę z tego, co zobaczysz. Lepszym to będzie od rozwlekłego opisywania życia, które znasz pan przecież tylko ze słyszenia.

Szczerze wielmożnemu panu oddany

<sup>95</sup>*in collegio* (łac.) — tu: w zbiorowej, oficjalnej dyskusji. [przypis edytorski]

*p. t. Król. taj. archiwariusz*

Trochę szorstki, lecz w każdym razie przyjacielski list archiwariusza Lindhorsta zrobił mi wielką przyjemność. Wprawdzie można było przypuszczać, że ten osobliwy starzec doskonale był poinformowany o szczególnym sposobie, w jaki się dowiedziałem o losach jego zięcia, a jaki musiałem, zobowiązany do tajemnicy, zataić przed tobą nawet, miły czytelniku, ale nie wziął mi tego tak bardzo za złe, jak się tego mogłem obawiać. Sam mi podawał dłoń pomocną dla dokończenia mojego dzieła i stąd mogłem słusznie wynioskować, że w gruncie rzeczy zgadza się na to, aby się z druku dowiedziano o jego zadziwiającym żywocie w świecie duchów. Być może, myślałem, czerpie on stąd nadzieję wydania za mąż również obydwóch pozostałych córek, bo może padnie jednak w pierś jakiegoś młodzieńca iskra i wznieci w nim tęsknotę do zielonego węża, a wtedy w dzień Wniebowstąpienia poszuka go w bzowym krzewie i odnajdzie. Z nieszczęścia, któremu uległ Anzelmus, kiedy go zamknięto w szklanej butelce, poweźmie przestrożę, aby się jak najsurowiej wystrzegać wszelkiego wątpienia, wszelkiej niewiary.

Punktualnie o jedenastej zgasilem lampę i wymknąłem się do archiwariusza Lindhorsta, który oczekiwał już mnie w przedsionku.

— Jesteś więc pan!

— Najczcigodniejszy!

— No, cieszę się, żeś pan nie zapoznał moich dobrych chęci. Wejdzże pan.

I zaraz zaprowadził mnie przez wypełniony olśniewającym blaskiem ogród do lazurówobłękitnego pokoju, w którym zobaczyłem fioletowy stół do pisania, przy którym pracował był Anzelmus.

Archiwariusz Lindhorst zniknął, ale zaraz pojawił się znowu, trzymając piękny, złoty puchar, z którego wykwiłał wysoki, błękitny, trzaskający płomień.

— Przynoszę tu panu — rzekł — ulubiony napój przyjaciela pańskiego, kapelmistrza Jana Kreislera. Jest to zapalony arak, w który wrzuciłem trochę cukru. Wypij pan odrobinę tego, a ja bym chciał zaraz zdjąć szlafrok i, dla własnej przyjemności, a także by korzystać z pańskiego drogiego towarzystwa, podczas gdy pan będziesz patrzył i pisał, chciałbym się wznosić i opuszczać w pucharze.

— Jak się panu podoba, szanowny panie archiwariuszu — odpowiedziałem — ale jeśli ja wtedy zechcę pociągnąć tego napoju, to pan nie będziesz...

— Nie kłopotcz się pan o nic, mój drogi — zawołał archiwariusz, zrzucił szybko szlafrok, wszedł ku mojemu niemałemu zdumieniu do pucharu i zniknął w płomieniach.

Z lekka zdmuchując płomień, bez obawy pokosztowałem napoju tego — był boski!

Nie ruszają się w wiotkich szmerach i szelestach szmaragdowe liście drzew palmowych, jakby od wiatru rannego pieszczoty?

Ze snu zbudzone kołyszają się i podnoszą, i szepczą tajemniczo o cudach, które im z dali najodleglejszej zwiastują słodkie harf dźwięki!

Lazur oddziela się od ścian i falami, jak mgła pachnąca, wznosi się i opada, lecz oślepiające promienie strzelają przez te opary, które jakby w radosnej, dziecięcej rozkoszy kłębią się i wirują, i wznoszą aż do niezmierzonej wyży<sup>96</sup>, co sklepia się nad palmowymi drzewami.

Lecz coraz bardziej oślepiająco skupia się promień do promienia, aż w jasnym świetle słonecznym roztwiera się nie ogarnięta okiem kraina, w której ujrzałem Anzelmusa.

Jarzące hiacenty i tulipany, i róże podnoszą swe piękne głowy, a zapachy ich wołają przemiłymi głosami do szczęśliwego: — Przechadzaj się wśród nas, ukochany, ty, który nas rozumiesz. Zapach nasz jest tęsknotą miłości, kochamy cię i twoimi jesteśmy na zawsze!

Złote promienie płoną żarzącymi dźwiękami: — Jesteśmy ogniem wznieconym przez miłość. Zapach jest tęsknotą, lecz ogień pożądaniem, a czyż nie mieszkamy w twej piersi?

<sup>96</sup>wyż (poet.) — wysokość. [przypis edytorski]

Szeleszczą i szumią ciemne krzewy, wysokie drzewa: — Przyjdź do nas! Szczęśliwy ty! Ukochany! Ogień jest pożądaniem, lecz nadzieją nasz chłodny cień. Szemrzymy szumiąco, Kochając nad głową twoją, bo ty nas rozumiesz, bo miłość mieszka w twojej piersi!

Strumienie i źródła pluszczą i bulgoczą: — Ukochany, nie przechodź obok nas tak szybko, przejrzyj się w naszym kryształ. Obraz twój mieszka w nas, a my go strzeżemy miłośnic, bo tyś nas zrozumiał.

Chórem radosnym ćwierkają, śpiewają ptaszki barwiste: — Słuchaj nas, jesteśmy radością, błogością, zachwytem miłości!

Ale z tęsknotą spogląda Anzelmus ku wspaniałej świątyni, wznoszącej się w dali najodleglejszej. Przedziwne kolumny zdają się drzewami, a kapitele<sup>97</sup> i gzymsy liśćmi akan-tu, które tworzą w zdumiewających zwojach i splotach ozdoby przewspaniałe. Anzelmus zbliża się ku świątyni, spogląda, rozkoszy pełen, na marmur barwisty, na cudnie omszone schody.

— Ach nie! — woła, jakby w nadmiarze zachwytu — ona już niedaleko!

Na to wychodzi z wnętrza świątyni Serpentina, czarownie piękna, anielska, i nie-sie złoty garnek, z którego wspaniała lilia wykwita. Niewysłowiona rozkosz bezbrzeżnej tęsknoty jarzy się w jej cudnych oczach, tak patrzy na Anzelmusa, mówiąc:

— Ach, ukochany! Lilia otwarła swój kielich. Najwyższe się dopełniło; jestże gdzie taka błogość, która naszej się równa?

Anzelmus ją chwyta w objęcia w uniesieniu palących żarów pożądania, lilia płonie w ognistych promieniach nad jego głową.

I głośniejsze poruszają się drzewa i krzewy, i jaśniej, radośniej wołają źródła, ptaki, naj-rozmaitsze owady tańczą w wirach powietrznych — wesołe, radosne, triumfalne rozgwar-y w powietrzu, w wodach, na ziemi — świętują święto miłości!

Aż tu zabłysną wszędy, świecąc po krzewach, błyskawice — diamenty spoglądają z ziemi, jak oczy roziskrzone — wysokie wodotryski promieniają ze źródeł — osobliw-sze zapachy przyprawiają z szumiącym skrzydeł łopotem — to są duchy pierwotne, co pokłon składają lilii i zwiastują szczęście Anzelmusa.

Aż podnosi Anzelmus głowę, jak gdyby jaśniejącą w promieniach przemienienia. — Czy to spojrzenia? Czy słowa? Czy śpiewy? Wyraźnie dźwięczy coś:

— Serpentino! Wiara w ciebie i miłość otwarła mi głębie przyrody! Ofiarowałaś mi lilie, która wykwitła ze złota, z prasyli ziemi, zanim jeszcze Fosforus rozpałił iskrę myśli. Ona ci jest poznaniem świętej harmonii wszystkich istot, a w tym poznaniu żyć będę w błogości najwyższej na zawsze. Tak, ja, obdarzony szczęściem najwyższym, poznałem to, co najwyższe. Muszę cię kochać wiecznie, o Serpentino! Nigdy nie zbledną złote promienie lilii, albowiem jak wiara i miłość, wiecznym jest poznanie.

Wizję, w której dane mi było ujrzeć Anzelmusa w jego własnej osobie w jego dobrach dziedzicznych na Atlantydzie, zawdzięczam zapewne sztuce Salamandra i wspaniałe to było, skoro gdy wszystko zagasło we mgle, znalazłem to bardzo porządnie i na pierwszy rzut oka jakby przeze mnie samego zapisane na papierze, który leżał na fioletowym stole.

Ale wtem ból gwałtowny przewiercił mi serce.

— Ach, szczęśliwy Anzelmusie, któryś odrzucił jarzmo codziennego żywota, któ-ryś na skrzydłach miłości do słodkiej Serpentyńny żwawo uleciał nad ziemię i żyjesz teraz w błogich rozkoszach i radości w swoich dobrach dziedzicznych na Atlantydzie! Ale ja biedny! Już wnet — tak, za kilka minut — zostanę nawet z tej pięknej komnaty, któ-rej przecież daleko jeszcze do Atlantydy, przeniesiony do mojego pokoiku na poddaszu, a nędze ciężkiego życia przytłaczają mą duszę, a wzrok, mój omotany jest niby gęstym tumanem tysiącnymi udręki, tak że ja nigdy już chyba nie zobaczę lilii.

Na to archiwariusz Lindhorst poklepał mnie z lekka po ramieniu i rzekł:

— Cicho, cicho, mój czcigodny, nie skarż się pan tak! Czyż nie byłeś pan teraz sam w Atlantydzie i czy nie masz pan tam co najmniej przyzwoitego folwarku, jako poetycz-nego dziedzictwa pańskiej duszy? Jest że w ogóle szczęście Anzelmusa czym innym, niż

<sup>97</sup>kapitel — głowica kolumny. [przypis edytorski]

życiem w poezji, której święta harmonia wszystkich istot objawia się jako najgłębsza tajemnica przyrody?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hoffmann-zloty-garnek>

Tekst opracowany na podstawie: E.T.A. Hoffmann, *Opowiadania*, tłum. J. Kleczyński, J. Kramsztyk i inni, Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik", Warszawa 1977.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Oltusek. Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Die digitale Reproduktion wurde von der Stiftung Fundacja Nowoczesna Polska anhand eines Exemplars aus der Sammlung von Paulina Oltusek ausgeführt. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0310-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.